



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgerbera i Spół., kwartal. 6 marek

## POGA WĘDKA.

Bohaterką ostatnich kilku tygodni była u nas p. Modrzejewska, która przed paroma dniami ukończyła szereg gościnnych występów na scenie Teatru w Ogrodzie Saskim; tak się teraz nazywa Teatr letni, który zatarł swój anachronizm w nazwie, ale pozostał zawsze, czem był — drewnianą budą, ogrzewaną w kurrytarzach gazowemi kominkami, a w sali gazowemi lampami i ciepłym oddechem widzów.

Dla najmniej wybrednej publiczności, a nie dopiero dla wytwornej jej części, która karetami zwykła zajeżdżać na plac teatralny i zajmować łoże na premierach, błyszczące światnemi toaletami i klejnotami, patrzeć i pokazywać się zarazem, widownia w tak skromnych i niewygodnych warunkach musiała być punktem zbornym, do którego tylko tak wyjątkowy magnes, jak wielki talent niepospolitej artystki, mógł stale przyciągać tłumy.

Wszystkie miejsca bywały na każdym występie p. Modrzejewskiej zapelnione; krzesła w amfiteatrze przedstawiały oryginalny widok, spotykało się w nich znane fizyognomie z *high-life'u* warszawskiego, damy zakutane w futrach, panów w palotach i czapkach futrzanych, dandysów naszych opakowanych, jak do podróży: w eskimosach i łosiowych rękawiczkach.

Nic dziwnego, iż ta publiczność, zbyt wrażliwa na zmianę temperatury i niewygodę pomieszczenia, wysadzona z łoż, czuła się skępowaną i jakoś jej nie swojsko było w tych drewnianych krzesłach i na parterze.

Tem tylko mogę sobie wytłómaczyć pewien chłód, jaki panował w sali na pierwszych występach

Modrzejewskiej, które w normalnych warunkach wzbudzały zawsze gorący entuzjazm, a tym razem nadspodziewanie umiarkowaną wywołały sensacją.

Dopiero w miarę, jak się publiczność oswoiła z salą i jej warunkami, zaczęła być swobodniejszą, zaczęła się rozgrzewać, bić oklaski i wywoływać artystkę z zapalem rosnącym coraz bardziej, aż zgotowała jej nareszcie wspaniałą owacją na poranku benefisowym zeszłej niedzieli, na którym dopiero Modrzejewska poznała swoją publiczność, a publiczność uwielbianej swej artystce oddała gorący hold uznania w taki sposób, w jaki to dawniej zawsze czynić zwykła.

Posypały się kwiaty, wieńce, lawina bukietów z galeryi, gromy oklasków i uragan okrzyków i przywoływań; publiczność się ocknęła.

Było to trochę późno, bo od pierwszego występu miała sposobność się przekonać, że pomimo różnicy lat kilku, Modrzejewska jest zawsze jeszcze tą samą wielką artystką, obdarzoną tak wyjątkowemi warunkami, tak żywotnym talentem, iż niezaprzeczenie oprócz Wolter i Sary Bernhardt nie ma dziś w Europie całej godnej sobie rywalki.

Krytyka amerykańska zaś uważa ją za najcenniejszą artystkę, i w niektórych rolach stawia nawet wyżej od głośniejszej Sary, mającej tyle talentu, ile zmysłu do robienia sobie reklamy; może nawet tej drugiej zdolności więcej od talentu.

Podczas swojej gościnności na scenie warszawskiej Modrzejewska ukazała się w rolach, stanowiących jej główny repertuar, jako bohaterka salonowych komedyi i dramatów; więc zobaczyliśmy świetną zawsze „Dalilę“, „Odetę“, zidealizowaną nieco „Damę Kameliową“, wyborną hrabinę w „Walcie Kobiet“, najpiękniejszą i doskonałą w najdrobniejszym rysie „Maryą Stuart“, poetyczną i uroczą „Ofelię“ i wreszcie na niespodziankę „lady Macbeth“, która stanowi nowy nabytek w szeregu szekspirowskich kreacji artystki.

Czas był tyle łaskawym dla kobiety, że nie naruszył jej wdzięku i zachował wszystkie przymioty zewnętrzne tej indywidualności, która na scenie jest wyjątkowem zjawiskiem.

Patrząc na nią, przypominałem sobie Anielę ze „Ślubów panięskich“ i Amelię z „Mazepy“, którą przed kilkunastu laty podziwialiśmy wszyscy z takim zapalem; pomimo różnicy czasu przyszedłem do przekonania, iż obie te role, może przez kobiecą przezorność wykluczone z repertuaru artystki, mogłaby p. Modrzejewska śmiało wznowić i grać je z teusamem zawsze, co dawniej, powodzeniem.

Zapewne też to uczyni w przyszłych sześciu występach, które mają dość do skutku po jej powrocie z Łodzi, za dwa tygodnie...

Krytyka z wielkimi, a wcale nie przesadnemi, pochwałami przyjmowała każdy występ znakomitej artystki, jedynie co do lady Macbeth robiąc pewne zastrzeżenia. P. Modrzejewska odstąpiła w tej kreacji od tradycyjnego pojęcia jednej z najtragiczniejszych bohaterek Szekspira; nie wyzuła jej z kobiecości, nie wynaturzyła z ludzkich instynktów i uczuć, zrobiła ją chciwą, ambitną, ale kochającą męża małżonką, która za cenę zbrodni dla niego i dla siebie zdobywa królewską koronę, a potem upada pod ciężarem wyrzutów sumienia i krwi przelanej.

Można się spierać o takie pojęcie tej roli, przystosowane do indywidualności i warunków artystki, która zawsze dążyła do zidealizowania niewieścich charakterów, przedstawianych na scenie i poetyczny urok ceniła wyżej od realnej prawdy; ale trzeba przyznać, iż w granicach tego pojęcia z wprowadzeniem *des ewig Weiblichen* w naturę okrutnicy całość wyrzeźbioną była z mistrzowskich szczegółów, zwłaszcza w scenie sonambulizmu, i stanowiła jedną z najbardziej interesujących kreacji p. Modrzejewskiej, dającą się zakwestyonować w całości charakteru, ale godną podziwu w epizodach scenicznych.



Jeżeli tragiczna bohaterka powinna budzić gło-  
zę i współczucie, to wobec Lady Macbeth przewa-  
żało to drugie nad pierwszym.

Nie wiem, co by powiedział Szekspir, gdyby mógł  
zobaczyć artystkę w tej roli, ale przypuszczam,  
że z galanterią autora i dyrektora teatru uca-  
lowałby rączkę p. Modrzejewskiej i rzekł:

— Ofelio, co tam słyhać w niebie?... dla cze-  
go koniecznie chcesz wstąpić do piekieł, jako la-  
dy Macbeth, kiedy ci nie uwierzą, iż umiesz mor-  
dować z okrucieństwem zbrodniarki!...

Oprócz wyjątkowo artystycznych wrażeń, jak-  
ich publiczności dostarczał Teatr w pierwszej  
połowie postu, mieliśmy zwykłą daninę muzyki  
koncertowej, która—cóż powiecie melomani?—  
mniejszym niż zwykle cieszyła się powodzeniem.  
Pan dyrektor Rzebiczek urządził koncert symfo-  
niczny ze współudziałem i słynnie pięknej i słyn-  
nie utalentowanej kreolki, p. Careno, wychwala-  
nej przez całą krytykę europejską, a sale redu-  
towo świeciły pustkami.

Znakomita pianistka grała, jak bogini klawia-  
tury, zachwyciła wszystkich techniką i płomieni-  
stym temperamentem: a jednak na drugi koncert  
pomimo wykrzykników prasy, słuchaczy przy-  
szło bardzo mało, jakkolwiek było na co pa-  
trzeć i czego posłuchać.

Nie dosyć mieć talent: trzeba mieć jeszcze  
szczęście do naszej publiczności, która jest...  
najkapryśniejszym dzieckiem w Europie. Od  
zeszłego tygodnia rozpoczęła się nowa serya  
wieczorów kameralnych i znowu nad nadzie-  
wanie, tasama sala resursy kupieckiej, która  
bywała za przestronną dla miłośników muzyki  
kwartetowej, zapełniła się tym razem słucha-  
czami, jak gdyby Boccherini, Beethoven i Men-  
delssohn byli—Offenbachem, Audranem lub Le-  
coque'iem.

Gdzież tu się można połapać z tą naszą me-  
lomanią!...

Zawszeć to jeszcze lepiej być skrzypkiem lub  
pianistą u nas, niż człowiekiem poważnej nauki i  
zasług obywatelskich, bo na najlichszy koncert  
zbiera się przynajmniej więcej ludzi, niż na osta-  
tnią posługę zapomnianemu nieboszczykowi, któ-  
rego rugują z nieopłaconego grobu na cmentar-  
zu, jak się to zdarzyło ze zwłokami ś. p. księ-  
dza Adama Jakubowskiego.

Wspominałem o tym smrotnym fakcie, iż za-  
rząd cmentarza na Powązkach przypomniał  
w wykazie nieboszczyków, zostawionych w kata-  
kumbach, trumnę zasłużonego i czcigodnego ka-  
plana, fundatora tylu zapisów publicznych, filan-  
tropa i uczonego, którego w nagrodę za piękny  
życiowy i szlachetny ofiarność z całego mienia  
i zbiorów swoich, miano pochować we wspólnym  
grobie nędzarzy.

*Gazeta warszawska* uderzyła wówczas na alarm.  
redaktor jej p. Stanisław Lesznowski, niebo-  
szczyk Wincenty Korotyński i przyjaciel ks. Ja-  
kubowskiego p. Badowski zajęli się zabezpiecze-  
nieniem godniejszego miejsca dla śmiertelnych  
szczątków męża, który, rozdawszy wszystko na  
łożu śmierci ogółowi, był tak mało przestronnym,  
dla siebie, że opłaconego grobu nie zakupił.

W zeszłym tygodniu wreszcie, gdy upłynął ter-  
min awizacji, zabrano trumnę po sześciu latach  
z podziemia cmentarza powązkowskiego i pomie-  
szczono ją w rodzinnym grobowcu p. Badowskie-  
go, który, wierny aż życia i wierny w przyjaźni  
po śmierci, dał gościnę zwłokom zacnego męża,  
skazanym na tułaczkę—po zgonie.

Cóż powiecie? Dokoła tej trumny, którą należało  
przeprosić za wyrządzoną krzywdę, zebrało się  
zaledwie kilkanaście osób, obecnych na nabożeń-  
stwie żalobnym i przy przeniesieniu ciała z kata-  
kumb do nowego grobu!...

A przecież, poza swojami zasługami, ks. Ja-  
kubowski, były rektor szkół pijarskich, długole-  
tni proboszcz kościoła św. Krzyża, jako kapłan  
należał do najbardziej popularnych osobistości  
Warszawy—i na tysiące liczył znajomych i ży-  
ciliwych za życia!

Pokazuje się, że u nas pogrzeby nawet najza-  
służonych ludzi dwa razy nie mogą się udać,  
bo pamięć tłumów starczy zaledwie od wczoraj  
do jutra.

Przed dziesięcioma dniami umarła nagle ś. p.  
Józefa z Reszków Kronenbergowa, znakomita  
niegdyś primadonna Opery paryskiej i madry-  
ckiej, która porzuciła scenę, wychodząc za mąż  
za znanego reprezentanta głośnej firmy bankier-  
skiej p. Leopolda Kronenberga.

Za trumną jej cisnęły się tysiączne tłumy,  
w orszaku zmarła nagle jakaś biedna kobieta,  
która swoją ciekawość życiem przypłaciła; był  
to jeden z najwspanialszych pogrzebów, jakie-  
śmy w ostatnich czasach widzieli w Warszawie.

Od lat siedmiu czy ośmiu nieboszczka, u szczy-  
tu powodzenia i sławy porzuciwszy zawód arty-  
styczny, nie występowała więcej publicznie, zam-  
knęła się w kole rodzinnem i tylko wybranym  
uczenicom udzielała tajemnic swej sztuki.

Była to śpiewaczka niepospolita, obdarzona  
głosem pięknym, dużym i dźwięcznym, jak sre-  
brny dzwon; zamiłowanie do sztuki zaprowadziło  
ją na scenę; młodzianka debiutantka przed ośm-  
nastu laty w Wenecyi, rozpoczęła zawód *prima-  
donny* w partyi Małgorzaty. Pochodziła z zamo-  
żnej rodziny warszawskiej; młoda, piękna, boga-  
ta, utalentowana niezwykle, szybko osiągnęła  
stanowisko europejskiej śpiewaczki za granicą  
i wślawiła nazwisko Reszków, które dzisiaj dzie-  
ki jej i dwóm braciom, znakomitemu tenorowi  
i basiście opery paryskiej, jest na ustach całego  
muzykalnego świata.

W pełni rozkwitu swego przybyła w r. 1883  
do Warszawy, aby zaśpiewać swoim i dla swoich;  
wystąpiła wówczas kilkanaście razy na scenie  
i w kilku koncertach, zrzekłszy się co do grosza  
swego dochodu na korzyść teatru, na rozmaite ce-  
le dobroczynne i pożyteczne.

To było szlachetną zasługą artystki, która oka-  
zała się dobrą obywatelką i zaciętą filantropką  
i to stanowiło tytuł do pośmiertnego hoł-  
du, jaki jej złożyła rodzinną Warszawa w dniu  
pogrzebu.

Śmierć rozmachała swą obosieczną kosę  
w ostatnich czasach i obchodzi żniwo okrutne  
w całym świecie.

Nie ma niemal tygodnia, aóy z zagranicy lub  
z kraju nie przyszła wiadomość o ubytku jakiejś  
wyjątkowej jednostki na rozmaitych polach spe-  
lecznej, artystycznej, literackiej lub politycznej  
działalności.

Przybywa dużych grobów coraz więcej a wśród  
nich roją się coraz mniejsi ludzie na opuszczonych  
przez nieboszczyków miejscach.

Nie pamiętam czasów, w których-by tak gro-  
madnie ubywały wielkie i głośne nazwiska z listy  
żyjących.

Zebrało się tyle zgonów jednocześnie, że kro-  
nika moja niemal na samą nekrologią się zmienia,  
a jednak muszę jeszcze jeden wypadek śmierci  
zanotować, wypadek tragiczny, jaki się wydarzył  
parę tygodni temu podczas „Maryi Stuart“, gdy  
pod sam koniec sztuki jedna z artystek, p. No-  
wakowska, grająca rolę Anny Kennedy, po-  
wiernicy królowej, padła nagle bez zmysłów na  
scenie i w kilka godzin później umarła. Przed  
dwudziestu pięciu laty rozpoczęła na deskach  
warszawskich swój zawód i chociaż wybitnych  
zdolności nie posiadała, była użyteczną dla sceny,  
zwłaszcza ze względu na swoje zewnętrzne wa-  
runki, które nadawały jej pokaźną prezencją—  
bohaterki w rolach epizodycznych.

Aby się otrząsnąć ze samych przykrych wra-  
żeń, poszukajmy jakichś tematów innych, zano-  
tujmy wiadomość o wynalezieniu przez Dr. Lie-  
brieba nowego środka przeciw tuberkułom, wy-  
rabianego z much hiszpańskich i nazwanego kan-  
tarydyną; prowadzą się z nim w Berlinie nowe  
doświadczenia, które wszelako po głośnem *fiasco*  
z przereklamowaną kochiną, nie budzą ani takie-  
go wrażenia, ani tak gorączkowego zajęcia.

Transfuzye koziej krwi, dokonywane we Wło-  
szach, mają coraz lepsze dawać rezultaty; suchot-  
nicy podobno wracają do siły i zdrowia a ofiarne  
kozy czują się wcale dobrze po operacji.

Może z tego będzie naprawdę jaki pożytek,  
tymczasem biedni chorzy kaszlą i z przygnębie-  
niem czekają wiosny, instynktownie obawiając się  
Marca, który ich chorym pierśiom zwykle tak  
bardzo dokucza.

Mamy już próbkę odwilży i ze strachem spo-  
glądamy na kupy śniegu i błota, które zaczyna  
topić słońce na ulicach, zamiast owego projekto-  
wanego pieca, co to miał tak praktyczne znaleźć  
na naszym bruku zastosowanie. Zamiast uprzą-  
tać i wywozić zaległości zimy tegorocznej, pro-  
ponowano topić je na miejscu w kotłach i spuszc-  
zać wprost do kanałów. Nie wiem, dlaczego  
ten projekt nie przyszedł do skutku mimo to, iż  
podobno jest tańszym i praktyczniejszym od wy-  
wózki, ale musiało mu coś stanąć na przeszkodzie;  
zatem słońce wzięło na siebie obowiązek asseni-  
zacji Warszawy i rozpoczyna ją w sposób odwie-  
czny i pierwotny, ale najskuteczniejszy.

Maluczko, a będziemy po kolana brnęli w bło-  
cie.

Przewidywane jest również niebezpieczeństwo  
powodzi przy ruszeniu lodów i tworzeniu się za-  
torów na Wiśle; wydano też rozporządzenia, aby  
możliwą klęskę uprzędzić i do *minimum* spro-  
wadzić.

W początkach tego miesiąca rozpocząć się miała  
u nas w Warszawie bardzo ważna i bardzo w wy-  
nikach swoich zajmująca czynność tak zwanej  
ankiety sanitarnej. Oto studenci medycyny pod  
kierunkiem doświadczonych osób w tego ro-  
dzaju statystycznych robotach, mają odbyć oglę-  
dzy wszystkich domów i mieszkań naszych,  
opisać szczegółowo urządzenie każdej posesyi na  
blankietach, przygotowanych przez urząd lekar-  
ski miasta i czynność tę ukończyć d. 13 kwietnia  
roku b.

No, piękne wyjdą tajemnice na jaw przy tej  
rewizji, z której się okaże, że większość naszych  
mieszkań jest właściwie mordownią naszego zdro-  
wia, w której zabijamy systematycznie organizm,  
opłacając się za to jeszcze gospodarzom.

Nie chcę uprzędzać wniosków komisyji, zbiera-  
jącej dopiero materiały, ale przewiduję rzeczy,  
od których już teraz dostają bólu głowy i mdło-  
ści, mam ochotę nos zatkać i zdaje mi się, że za-  
padam na influenżę.

Według pytań, umieszczonych na blankietach  
trojakiemu rodzaju, materiały zbierze się wyczer-  
pujący, ale i praca delegatów będzie niemałą,  
gdy przyjdzie obliczać wszystkie pokoje, ich wy-  
miary, okna, obejrzyć wszystkie kąty od sutery-  
ny do poddasza i wypełnić kilkadziesiąt rubryk  
dokładnie w dziewięćdziesięciu grupach, na któ-  
re podzielone zostały ulice Warszawy.

Ale ten trud będzie obywatelską przysługą dla  
miasta i w przyszłości przyczynić się może do po-  
prawienia dokuczliwych dziś błędów, braków  
i niewygód w urządzeniu całych domów i pojedyn-  
czych lokalów.

Ankieta sanitarną zaliczyć można do najle-  
pszych pomysłów w ostatnich czasach, które zro-  
dziły kilka projektów godnych wszelkiego uzna-  
nia; do tych należy niewątpliwie z inicjatywy p.  
Stanisława Skarzyńskiego przeprowadzony wnio-  
sek w Towarzystwie Kredytowem Ziemiem,  
które postanowiło wykupić swoich urzędników  
z niewoli lichwiarzy... W tym celu instytucya  
przeznacza kapitał 50,000 rs. na spłaceniu dłu-  
gów swoich prawników którzy, zamiast być dłużni-  
kami wyzyskiwaczy, staną się dłużnikami Towa-  
rzystwa i w ratach rozłożonych na lat dziesięć,  
z procentem po 5%, rocznie, spłacać mają swoje  
pożyczki.

W razie śmierci dłużnika stratę ponosi insty-  
tucya, ale na wypadek niewypłacalności z jakich-  
kolwiek innych powodów, odpowiadają za kolegę  
solidarnie urzędnicy, korzystający obecnie z za-  
pomogi do wysokości pobranej sumy.

Istnieje zamiar udzielenia podobnego funduszu  
także i dyrekcjom szeregówym.

Projekt to bardzo humanitarny, który zaciera  
na tarczy obywatelskiej instytucji skazę nepoty-  
zmu, jaka się tam przed kilku miesiącami ukaza-  
ła, przy zamianowaniu jednego z radców etato-  
wym urzędnikiem dyrekcji.

Uczciwa i rozsądna myśl zasługuje na uznanie  
blichne.

I jeszcze o jednym dobrym, już prawie wy-  
konanym projekcie mam obowiązek wspomnieć  
w zakończeniu swej kroniki; mówię o założeniu  
szkoły gospodyń w Chyliczkach pod Warszawą,  
przez hr. Cecylią Plater-Zyberk, założycielkę



zakładu rękodzielniczego dla kobiet przy ulicy Pięknej, w którym około 300 uczennic kształci się dzisiaj w zawodach praktycznych.

Hr. Plater z własnych funduszy zakupiła folwark pod Piasecznem i tam urządza filię swego zakładu, w której młode dziewczęta od 15-tu do 16-tu lat uczyć się mają gospodarstwa kobiecego na wsi, a zatem: młeczarstwa, kucharstwa, pieczenia chleba, przyrządzania mięs, marynat, konserwów, konfitur, nadto ogrodnictwa, warzywnictwa, pszczelnictwa, tkactwa i t. p. zajęć praktycznych, dających w przyszłości utrzymanie i niezły kawałek chleba przy pracy.

Oplata dla uboższych wynosić będzie od 100 do 200 rs, dla zamożniejszych od 200 — 300, a kurs całkowity nauki trzy do czterech lat na miejscu.

Nie pozostaje nic innego, jak przyklasnąć pomysłowi i energii założycielki, która wypełnia ważną lukę w sprawie praktycznego nauczania kobiet i walki o byt dla warstw padających najczęściej jej ofiarą.

Quis.

## FRYDERYK SZOPEN

Jako człowiek i artysta.

(Dalszy ciąg).

Przez Kraków, którego starożytne zabytki i okolice zwiedzał, dążył Szopen do Wiednia, wioząc ze sobą polecające listy Elsnera do tamtejszych znakomitości muzycznych i wydawcy, który już poprzednio, także za pośrednictwem Elsnera, utwory młodego kompozytora nabył i talent jego umiał ocenić. Teraz po usłyszeniu gry jego, usilnie go nakłaniał do dania koncertu, czemu Szopen długo się opierał, bo była w nim ta skromność natur wyższych, którym górny ideał piękna, w duszy noszony, nie daje własnych utworów należycie ocenić. Tworzą, bo to, co w piersi noszą—miłość sztuki i porywy zapału, popychają, zmuszają ich do tego; potem przecież, gdy cudowny moment natchnienia ujdzie, blask opromieniający ich dzieła gaśnie im przed oczyma, i z tego, co dokonali, mało zadowolonymi się czują. Przytem Szopen umiał naturę mimozy: gdy spotkał się z czemś, co było pospolite, co było szorstkie, związał się w siebie, krył w głąb' lękał się też obecnie na przejścia takie narazić, ale w końcu dał się pociągnąć namowom wydawcy, zwłaszcza że rodacy, których tu spotkał, i Czech Blahetka, publicysta, popychali go do tego, a on, wahający się między obawą i pragnieniem spróbowania sił swoich, zgodził się nakoniec. W liście do rodziców opisuje potem powodzenie swoje z wesołą dumą chłopca, który czuje, że już na widownię się świata wydstaje—pisze, że z dyrektorem opery włoskiej pod ramię chodzi, że członkowie orkiestry kłaniają mu się z uszanowaniem, i przedstawia to niezmiernie miły obrazek młodości jasnej i czystej, która przy pierwszym rozwinięciu skrzydeł, unoszących ją w świat, tak się przed ukochanymi swymi naiwnie zdobycami życia pyszni.

Oczy matki musiały się przy czytaniu tych listów rozkosznie łzami zwilżać, ojciec musiał czuć, że ma dobrego i niepospolitego syna, a wszystko wróżyć mogło, że życie jego będzie piękne i szczęśliwe. Po pierwszym koncercie przyszedł zaraz drugi; dzienniki specjalne ogłaszają o zjawieniu się wielkiego talentu, piszą, że młody kompozytor grał „jak mistrz pierwszego rzędu“, że „ukazał się świetny meteor na horyzoncie muzycznym“, a dodać trzeba, że okazuje się tu zarazem piękna duma młoda, która nie chce z natchnienia swego zysków ciągnąć, bezinteresowność szlachetna: za koncerty swoje nie przyjmuje on nic, jakkolwiek środki jego są bardzo skromne. Czuję

się władcą tonów z bożej łaski i hojnym też jest w rozdawnictwie tego piękna, które tworzy, a pisze przytem rodzicom, że się „damom i muzykom“ podobał i tylko „niemieckim laskom“ mniej do gustu przypadł. Odzywano się, że jest za miękkim, za delikatnym, a on w tym liście do rodziców odpowiada na to, że woli być takim, niż gdyby był ostro twardym. Jest to podrażniona miłość własna, ale jest zarazem i indywidualność talentu, która drogi swoje ma wytknięte i nie chwieje się między pochwałą i naganą: jest taką, jaką jest, przez to, co w piersiach nosi. Dwadzieścia dni w Wiedniu przebywał, a umysł jego oświecony sprawiła, że muzyka nie zasłania mu całego świata. Zwiedza galerie sztuk pięknych, wystawę starożytności, o czem wszystkim rodzicom pisze w listach niezmiernie miłych, prawdziwie młodych. Bywa też w świecie, gdzie go zapraszają zaraz po pierwszym koncercie: w domu polskim hr. Husarzewskiego, w domu ks. Maurycego Lichnowskiego, Czecha, oddanego całą duszą muzyce przyjaciela Beethovena,—Lichnowsky mu życzliwie rad i wskazówek udziela. Ale w delikatnej, miękkiej napozór naturze jest w głębi niezawisłość wyższego talentu, jest poczucie indywidualności artystycznej: Szopen bierze sobie zpośród udzielanych mu rad to tylko, co do istotnego przekonania jego przypada. Umie się też poznawać na powierzchowności komplementów, ale przejrzysta, szczerza ta natura nie udaje bynajmniej, że zdania, które ceni, są mu obojętne. W wigilią odjazdu pisze rodzicom:

„Moja popularność tutejsza, postępuje coraz *cre-scendo* i cieszy mnie to bardzo“. Spotyka się też z niejedną nową dla niego rzeczą: pojęcia, idee nieznanne uderzają na jego umysł; ale, odurzony zrazu, umie przecież powoli ład tu wprowadzić, jak się z tem zwierza przyjacielowi, Wojciechowskiemu. Wyjeżdżającego z Wiednia żegnano z honorami, należnymi talentowi już uznanemu.

Pobył w Pradze, niedługi, bo trzydniowy, wykazuje, że obok muzyka jest w nim młodzieńiec myślący i czujący; odwiedza najpierw uczonego Wacława Hankę, następnie dopiero jest u Czernego i innych artystów muzycznych; wstępuje po drodze do Cieplić; spotkany rodak Łempicki, wprowadza go do zamku księcia Clary, gdzie Szopen spotyka się z arystokratą różnobarodową, co go bynajmniej nie miesza. Gdy po obiedzie, na który go zaproszono, matka księżny, hrabina Chotek, prosi go, aby grał, on siada do fortepianu i żąda, aby panie dały mu temat do improwizacji. Trzy młode księżniczki szepczą między sobą, pomaga im bibliotekarz księgozbioru księżęcego, i zadają mu, jako temat, wyluszczenie myśli istotnej dzieła Rossiniego „Mojżesz“, a on na tychmiast ręce do klawiszy przykładają i gra tak, że poważni panowie koło fortepianu się kupią. Na drugi dzień jest znów w zamku na obiedzie; nie puszczają go do wieczora; księżniczki chcą go zatrzymać dłużej, ale on do Dreznia się śpieszy wszystkie jednak piękne jako natura okolice i pamiątki historyczne zwiedza. Wycieczka do Teplic nie mieściła się przecież w planie jego podróży, ale on pisze dumnie, że dobry stan jego finansów pozwolił mu na tę rozrywkę.

Do Dreznia jedzie nie tylko dla celów muzyki. Jest w sztukmistrzu czujący, myślący człowiek: chce głównie galerią obrazów tu zwiedzić, a następnie napić oczy pięknościami natury Saskiej Szwajcaryi. W Dreźnie grano wtedy przerobionego dla sceny „Fausta“ część pierwszą. On w teatrze jest, przecież nie zdaje odczuwać tu gorącego zapału i wyraża się o tem dziele wielkiego poety w listach swoich bardzo lakonicznie. On i Goethe, to natury tak sprzeczne, że być tak musiało.

Za powrotem do Warszawy tworzy dużo, pisze i wydaje, a należy już teraz do rzędu artystów europejskiej sławy, bo o kompozycjach jego donoszą wydawnictwa zagraniczne i rozbiory ich podają. Pismo berlińskie, sprawom muzyki poświęcone, *Iris*, mimo że jego redaktor nie należał do wielbicieli Szopena, a nawet utwory jego nazywał mdłymi i siły pozbawionymi, podaje zawsze wiadomość o każdym nowym jego dziele; podobnie pismo w Lipsku wychodzące „Allgemeine musikalische Zeitung“ wysokie mu pochwały oddaje,

zowiąc młodego kompozytora genialnym twórcą nowej szkoły. Schumann staje się, jak żartobliwie pisano, rycerzem Szopena; on przecież sam tworzy zawsze z tematów swojskich. Do dzieł z tego czasu należy „Fantazyja“, napisana na temat starej naszej piosenki „Już księżyc zaszedł“. Pomimo wszystkich arcydzieł obcych, które zna, któremi się zachwyca, chwilami upaja, tworzy przecież z natchnień tylko swojskich.

Niecks czyni też tu wnioski, uwagi psychologiczne, wedle bardzo szlachetnie pojętej natury ludzkiej: człowiek czuł, kochał, upajał się tonem, który mieszkający w jego głębi artysta czynił materyałem dla twórczości swojej. Oddalenie od miejsc, gdzie to brzmi, śpiewa dookoła, nie zmieni już nastroju jego twórczości; unosi to ze sobą wszędzie, gdzie go życie poniesie—zaczarowanie miłosne tych dźwięków. Przez oddalenie wyszlachetnia się to jeszcze, tkliwszy, głębszy dźwięk bierze, kolorytu miejscowego nie tracąc. Są między utworami jego takie (Berceuse, opus 57, Rondo, opus 14), które mniej od innych rozpowszechnionymi zostały wśród świata muzycznego, z powodu tak doskonałej ich swojskości, że obcy wykonawca nie łatwo mógł ton ich uchwycić. Niecks zrozumiał to dopiero, gdy Edwarda Dannreuthera w 1866 r. i Janotównę, już teraz niedawno, usłyszał; Kujawiaki, Krakowiaki Szopena zachwycają go. Opisuje jak rażna, szczerza ich wesołość porywa, raduje serca, gdy nagle ton jakiś smętny przenika i rozmarza, za czemś utracconem, czy nieujętem, westchnąć każe.

Daje autor z kolei obraz rozwoju artystycznych sił Szopena. Uważa to sobie za rozkosz niepoślednią: śledzić tu jak ten mistrz tonów czerpie sobie materyał ze starych piosenek, z melodyi ludowych i, nie ujmując im nic z prostoty, nic z charakteru miejscowego, rozwoju ich motywa. Dzieli on Szopena utwory na trzy grupy, pisze, że przy bogactwie, jakie tu jest nagromadzone, nie łatwo wartość pojedynczych utworów ocenić. Naprzykład *Marsz żałobny* (C-moll Opus 72 b), wśród dzieł Szopena niewiele co znaczy, a przecież wśród utworów innego, mniej bogatego kompozytora byłoby to arcydzieło mimo pewnych niedoborów kompozytocy: taka tu jest niewysłowiona prostota i spokojna, łagodna melancholia. Mistrz sam tu rzuca cień na dzieła swoje. Sławny jego *Marsz żałobny* (B-moll Opus 35) napisany potem w lat dziesięć, w 1840 r., przyćmiewa utwór poprzedni i w tyle po za sobą go zostawia.

Z kolei musiał tu jeszcze przybyć jeden żywioł, odbijający się zawsze silnie na twórczości każdego poety, każdego sztukmistrza: miłość. Jakkolwiek Szopen zdaje się być łagodnym marzycielem, moc uczucia była w nim wielką i opanowywała przemocnie całą jego istotę. Niecks śledzi to uważnie i wykazuje, że działa się tak u niego nawet z przyjaźnią. Uczucie jego wszelkie było równie namiętne, jak i zamiłowanie do muzyki: zabierały go sobie z siłą wielką i wyłączną, jakkolwiek nawet w pierwszej młodości mógł to skryć w sercu i kochać gorąco, stale, w tajemnicy. Wojciechowski, przyjaciel jego od serca, nie wie nic długo o jego pierwszej miłości, i Szopen czyni mu raz wyznanie niespodziewane. „Nie wyobrażaj sobie, iż wtedy, gdy ci o przyjemnościach i korzyściach mego pobytu w Wiedniu pisałem, łączyła się z tem myśl o córce Blahetki. Już ja, może na nieszczęście moje, znalazłem poprzednio ideał kobiety, który wiecznie czcić i tkliwie w sercu nosić będę. Sześć miesięcy już upłynęło, a ja nie przemówiłem ani jednego wyrazu do tej, o której marzę każdej nocy. Myśli moje były przy niej, gdy tworzyłem Adagio mego Koncertu, ona też zesłała mi tego walca, którego ci przesyłam.“

W sercu młodzieńca był to prawdziwie pierwotny miłości—przebudzenie się uczucia, które miało tak ciężko próbować sił człowieka i oddziaływać na jego życie. Było to zarazem iskrawą, potrzebną do tego aby się tu zapalił ogień twórczy. Niecks twierdzi, że w dziewięćdziesięciu dziełach na sto wypadków takich jest to moment, w którym wierszokleta staje się poetą, a rzemieślnik artystą: cóż dopiero, gdy miłość odezwie się w sercu z prawdziwymi zasobami poezji i twórczości?... I dlatego-to w życiu każdego



z tych ludzi, którzy otrzymali od natury dar natchnienia w sztuce, w poezji, znajduje się jakaś postać kobiety, rozniecająca ten ogień, przy którym grzeją się serca i duchy i rozpalają wyobraźnię. Konstancya Gładkowska, uczennica warszawskiego konserwatorium, wzniciła pierwszy ten pożar uczucia w sercu, jeżeli nie gwałtownym w uniesieniach miłości swojej, to upartym w wierności im, w trwałości. Listy Szopena, pisywane w tych czasach do Tytusa Wojciechowskiego, który mieszkał na wsi, pełne są tęsknoty i żalu. Trzeba-by mu było mieć w tych czasach tego przyjaciela obok siebie, a jego otacza tylko tłum ludzi obojętnych. Dużo bywa w towarzystwach wyższego warszawskiego świata, spotyka się z uczonymi, pisarzami; przecież nosi tam wszędzie ze sobą serce smutne, i tylko muzyka nie traci dla niego nigdy interessu, uroku swego, i można też powiedzieć to o nim, że ma nie szczęśliwe szczęście, bo szczęściem jest nawet obok cierpienia mieć taką pocieszycielkę, jak miłość.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## HRYWDA.

POWIEŚĆ

przez

Maryę Rodziewicz.

(Dalszy ciąg.)

Wrzesień.

Czternastego Września oczekiwano w Hrywdzie od roku do roku. Termin to był uroczysty: „Czesnejko“—jarmark jedyny w miasteczku. Już na tydzień przedtem ciągnęły przez wieś wozy ładowne z dalekich stron—z towarami. Więc jechali kołodzieje i bednarze, kupcy z kozuchami i obrazami, wieźli ludziska wszystko, czego wieś potrzebuje na zimę.

W przeddzień, już i żywy towar pędzono:—konia, krowy, woły, a chłopci hrywdańscy prorokowali świetny jarmark.

Oni nie produkowali nic, oprócz rolnych płodów, ale przecie każdy coś kupić potrzebował. Na kupno to przez cały rok zbierały kobiety—to len, to wełnę, cebulę, grzyby, jaja i kokosze; gospodarze potrzebowali bron i san, kozuchów i czapek: więc długie narady bywały po chatach—o bydłociu na sprzedaż, o zboża miarce, która może zbędzie. Przednówek był jeszcze daleki, a tymczasem nagliły różne potrzeby.

W przeddzień jarmarku zdarzały się też bójki—protesta hałaśliwe i płacze kobiece po krowie lub owieczce.

Bitwa w tym roku zaszła najkrwawsza u Hubeniów. Bito Kalenika.

Pierwsze to były razy, które odebrał, on gospodarz chatni i rzadca dobytku przez tyle lat.

Bił go stryj, pijak i marnotrawca, bił Sacharko, hultaj i niedbały, a potem dopomagał Kiryk, i skubały nawet dzieci, jak szczenięta, zaprawiając się do życia i czynu.

On się nawet mało bronił, tak się przestraszył i zdziwił napaści.

Wypchnięto go z chaty—upadł w błoto na podwórzu, powstał, otarł twarz, poprawił świętę roztarganą i wrócił do chaty.

Po wieczery dopiero do Huców wstąpił i zboże kiedyś pożyczone odniósł.

Nawet się nie poskarżył, i dopiero zagabnięty przez Karpina, milcząca swe usta rozwarł.

— Ale—poswarzył się!—powoli opowiadał — „Pentelnego“ wołu chcą sprzedać. Ja gadam, że kiedy sprzedawać to chyba „podręcznego“ bo i starszy, i „zazimisty“—a oni krzyczą: ty dur-

ny—co wiesz! Tak ja powiadam: a któż wie-dzieć będzie? nie orał nim diadko u Sundela w karczmie, ani Sacharko w Nowozybkowie, ino ja—na polu. Tak „stali“ mnie łajać, taj bić! Ot jak!

— Dałbym ja im, dał, żeby zagabnęli!—krzyknął Karpina zuchwale.

— At! Ja człowiek spokojny, a zmordowany robotą, to się zlenił. A i nie spodziewał się!—apatycznie odparł Kalenik.

Splunął i po chwili namysłu dodał:

— Dureń ja, a taki oni większe durnie! Psie pieniądze wezmą za byka na jesieni. Kto jego dostanie, dopiero rozumny będzie!

— Ty, Kalenik pilnuj się, jednakże—wtrącił stary Huc. — Źle jest, że ciebie bić poczynają; potem zupełnie wypędzą.

— Oho—z mojego gospodarstwa?

— A cóż? Wołu już przeciw tobie sprzedają.

Parobek rękę w kudły zanurzył, które po całodziennej młócce, pełne były żdźbeł słomy i kurzu.

— Wól co innego!—zamruczał—ziemi nie dam!

— A słyszę, chce ciebie brać „wdowica“ Syluków—spytał Matwiej.

— Gadają, że u niej już żyjesz!—zaśmiał się Karpina.

— Mutnia! Dwa dni młócił. Namawiała: nie zecheć!

— Czemu? Połowa pola, i dwoje małych dzieci.

— To co? Nie chcę!

— A jabym ci życzył!—burknął stary.—Żenić ci się pora.

— Albo to dziewczki nie wart! Ożenię się po swojej woli, a nie po babskiej!

Wyszedł. Wdowa Syluków niedawno—w zniwa—została samą w chacie. Naprzeciw Hubeniów było jej gospodarstwo,—i ona ciągle na oczach Kalenika.

Wesoła była, zwinna, gadatliwa. Zaczepiała go codzień, wabiła do siebie jawnie.

Sydor i Sacharko gwałtem go do niej wypychali.

Zawadzał im w chacie. Narzekala Tatiana na opieranie i oszywanie tyłu mężczyzn; chleba żalowano mu, do gospodarstwa starczyło rąk bez niego.

Działo się to nieznacznie, i on nie postrzegając, jak w tej chacie schodził z pierwszego miejsca na ostatnie. Sacharko teraz rządził wołami i sochą, Kiryk — klaczą, stary radził tylko z synami o sprawach domu i zagona, Tatiana zaniedbywała jego odzież i jedzenie.

Nie spostrzegł się, że zstąpił wreszcie do roli parobka. Od zniw szedł codzień na zarobek do dworu, co Niedzieli zarobione pieniądze odnosił stryjowi. Rachował, że zbiera na swoje wesele i, myśląc tą opanowany, rad był, że mu dozwolono zarabiać na siebie.

Często zapominano mu zanieść obiad na pole: jadł tylko chleb, pił wodę — ale i wtedy nie sarkał, ani głosu nie podnosił.

Było to zwierzę pociągowe — bez żadnych fantazyi i kaprysów.

I tak oderwał się od chaty, a raczej odrywano go od niej — przygotowywano do zmian wielkich.

On tego ani widział, ani rozumiał, ani czuł. Jego teraz zajmowała myśl żeniaczki — bo mu pora była — a odbyć to trzeba raz przecie.

Pieniądzy wprawdzie szkoda; ale kłopot ten, jak chorobę przejść trzeba, bo i ludzie się śmieją z nieżonatego i opranie nijak, i przecie żonę chociaż wyłajac można za byle co, a i pastuszki do gęsi potrzebne—Sak wyrasta — trzeba dzieci znowu w chacie.

Gadano o jego żeniaczce, ale mu wciąż rajono „wdowicę“. Rajono — aż go wreszcie namówiono na próbę. Poszedł do młócki. Wdowa rada mu była, karmiła, poila. Posiedział dzień, dwa, trzeciego wieczora do jedzenia się zabierał, gdy drzwi się otwarły — weszła Łucysia. Bardzo błada była i przerażona swym czynem.

— Pochwalony! — rzekła głucho.

— Na wieki! — odparła Sylukowa wesoło: —

A co wam trzeba? u mnie wszystkiego dostaniesz! Z ochotą dam, bo mi dobrze—ot—gospodarza znowu mam, taj—lepszego jak pierwszy!

Mówiła to bez złej myśli urażenia dziewczyny, ot, byle się pochwalić.

— Czula ja! — słyszała — odparła Łucysia: — Ot — bieliznę wam jego odnoszę — co u mnie w praniu była.

Położyła zwitek na ławce i odejść chciała. Sylukowa zatrzymała ją za ramię.

— To ty prała! — Poczekajże, może darmo: ja tobie za niego zapłacę!

— Ni, zapłacił on mnie! — rzekła Łucysia głucho i wyszła.

Nazajutrz Kalenik był znowu we dworze na robocie — i straciła wdowa swego gospodarza; nie straciła jednak nadziei. Ściagała go wszędzie, przybiegała do Hubeniów, do Huców, zaczepiała go na ulicy. On nie uciekał, ale i nie wracał do niej; nie żartował, ale i nie burczał. Tak trwało!

Noc była ciemna, gdy wyszedł od Huców. Zabielało coś naprzeciw u Syluków.

— Kalenik!

— A czego?

— Pójdiesz na jarmark?

— Pójdę.

— Co masz piechotę iść? Jest u mnie kobyła.

— To co?

— Powieź mnie.

— Nie wiem! — odparł.

— To chodź tymczasem. Jagły z mlekiem nagotowałam.

Parobek spójrzył na ulicę błotnistą.

— Spać chce się! — apatycznie odparł.

— Hultaju! — Tobie sen w głowie!

— A cóż! — Utomił się (zmęczył się).

— To z tobą tak? Nakarmcie mnie, napójcie i popchnijcie na słomę: to już i sam zasnę.

— A cóż! — potwierdził obojętnie.

Rozmawiali przez ulicę — nie widząc siebie.

— Zachodził dzisiaj do mnie Czechów Andronik — mówiła kobieta dalej ze śmiechem: — Co ty powiesz na to?

— Nie mój interes!

— A może twój!

— Odczep się.

Splunął i odszedł. Naprzeciw skrzypnęły drzwi, kobieta weszła sama do chaty i słychać było, że złość spędzała na dzieci, bo wyły w niebogłose.

Okolo północy wiatr się zerwał i poczał na Hrywdę napędzać chmur szmaty. Wygryzał też liść po liściu osłony drzew, rozsiewał chwasty po polach, szarpał strzechy, szkodził gdzie mógł.

Gdy ranek wszedł, nie było słońca, i deszczyk mżył drobny. Pomimo to, kto żył, stroił się, i wybierał w drogę.

Wozy ciągnęły sznurem, pełne ludzi i towaru, poza stodołami szli piesi.

Za wsił zabielała droga od świt i namitek — napelniła się gwarem tysiacy.

Kalenik dawniej jeździł. Jeszcze zeszłego roku wioził stryjną i stryja na wozie ładowym.

Teraz i na tym wozie nie stało mu miejsca: siadła Tatiana z Sydorem, Sacharko na przedzie; jemu kazano wołu prowadzić.

Posłyszawszy to, zaklął — i poszedł.

Sam nie wiedział, poco dążył do miasteczka, ale tak obyczaj kazał. Miał dwa złote w kieszeni, więc szedł.

Napędził go Karpina z Olenią. Złączyli się tedy i gawędzili o spotykanem bydle.

Huc ze swą dziewczyną szli po kozuchy. Już ich zapowiedzi wyszły — na podziw całej wsi.

Oprócz tych kozuchów nie im nie trzeba było na gospodarke.

— Ta sama bodnia, ta sama dzieża! — śmiał się Karpina—nawet garnuszka nie kupimy! ot—do komory ją od matki zabiorę — taj konieci!

Tak i ty zrób — bacz — Syluczucha jedzie!

— Siadajcie! — zawołała do nich wesoła kobieta.

— Bierz większego!—zaśmiał się Karpina—ja już mozół mam na karku. Na nic tobie!

Olenię pokazał — a Kalenika tracił.

— Nie bądź głupi—siadaj! Co ty baby się boisz!

Kalenik oszołomiony, lejce ujął i usiadł na przedzie. Ruszyli wśród innych. Klacz była siwa, gładka, żrebak przy niej półroczy. Kobieta wiozła grzyby, mannę i parę owiec na



sprzedaż. Po dostatkach tych powiódł okiem chłop — i westchnął. Tajalo mu serce.

— Będiesz co kupowała? — spytał.

— Ale — wołu trzeba. Doradz ty mnie!

— Naszego kup. Ot, heń go Kiryk prowadzi.

Tak ci radzę z dobrej duszy. Zbytki robią, że go sprzedają; ja wczoraj się poswarzył nawet o to?

— Stary on?

— Gdzie zaś! Ośm lat. Jaż jego wyhodował! Taka skotyna dobra, że w siole lepszej niema. Z twoim lysym parzyste będą.

— A może on ciebie tylko słucha?

— Oj i jak!

Mijali właśnie wołu. Parobek się przechylił.

— Hnedko! — zawołał.

Byk podniósł głowę; poznał głos, i zamruczał. Zaśmiał się Kalenik, jak rzadko to czynił, ale wnet zmarkotniał, i parę razy za tem bydlęciem — przyjaciele — się obejrzał.

— Jak ma iść z domu, lepiej do ciebie, niż żydom na mięso! — zamruczał.

— I pewnie! — potwierdziła wdowa — a jak nie zechce parobka słuchać, to ty nim porzesz!

— Takim orać — to uciecha! — rzekł.

Spotykali więcej bydła, ale kobieta prawie nie patrzała na nie.

Zaczepiali ich znajomi. Ona swoim woźnicą czwaniła się, na grube żarty odpowiadając śmiało. Parobek w milczeniu fajkę kopał. Aż w tem u wstępu do miasteczka spostrzegł Łucysię.

Zdaleka ją poznał, bo bielala nowiutką swiata i chusteczyną śnieżną. Po tej czystości znać ją było wszędy, i po tej kosie złotej, jakiej drugiej na okolicę nikt nie miał.

Stały obie z matką, otoczone żydówkami, które im z rąk prawie wyrwały dwa koguty pstre i kobiałkę jaj. W ulicy już tłok był, bo żydzi opadali wozy, chcąc niedopuszczyć chłopów z towarami do konkurencyj na rynku.

Łucysia oczy swe modre przeprowadziła z Kalenika na wdowę i znowu na parobka. Wóz ją minął — a ona wciąż za nim patrzała.

Opadli żydzi i wdowę, ale Kalenik parł się naprzód, zaczepiając o natłoczone furmanki. Klełi go, i on kłął, ale się nie zatrzymywał, bo Hrywda miała swoje miejsce na rynku, a on za nie by nie stanął wśród ludzi i fur z Kończyce, z Błot, z Zamoroczenia — wśród czarnych świt i kusych namitek „cudzych“ ludzi.

Nareszcie dotoczyli się do swoich. Opodał i Sydor z Sacharkiem trzymali byka. Zresztą plac był tak pełen, że tworzył chaos twarzy, łbów rogatych i nierogatych, chałatów żydowskich, zgiełku, wrzawy, łajania, śmiechu, szwargotu. Kalenik klacz odprzął i do drabiny uwiązał, a sam gapił się, o łusznę wsparty.

Rozmyślał: na co wydać owe dwa złote?

Wabiły go i czapki, i buty i kozuchy i rzemień. Niczego nie miał z tych dostatków.

Stał zbiedzony, w zrudziałej świcie i postołach, w kapeluszu czarnym od chatnego dymu; wstyd mu było nawet odejść od swoich.

— A co chcecie za owce, gospodarzu? — ktoś go zagnał spytał.

Obejrzał się. Chłop to był cudzy.

Sylukowa się roześmiała, a on odburknął.

— Idź do czorta!

Splunął i uciekł, nawoływania kobiety nie słuchając. Teraz tłum go ogarnął i począł ze sobą nieść i popychać. Tak mimowoli znalazł się przed wystawą czapnika. Kiryk tam był, Tychon, Czyruk, Klim, Czech, postrojony, z kalitkami na szyi, w których grosze brzęczały. Mierzyl, targowali, odchodzili po sto razy, i znowu wracali.

Dziewczęta kręciły się opodał przy kramiku z chustkami; baby obchodziły, szeroko radząc, wozy bednarzy i garnarzy; gospodarze chodzili od bron do kół kutech — i nie.

Wśród nich żydy i żydówki, rozgorączkowani, zachrypnięci, obłoceni, spotnieli.

I znowu Łucysia przewinęła się przed okiem Kalenika. Koguta już nie miała, natomiast garnek czarny i wianek cebuli w fartuchu. Tedy on się do niej zbliżył.

— Dobry dzień!

— Dobrze zdrowie! — odparła cicho.

— Szmat dałaś za garnek?

— Dziesiątkę.

— To i wszystko?

— Ale! — Matka jeszcze poszła włóczki krasnej wziąć do pasów — taj kanchory i percu, bo coś niedomaga!

Nie patrzała na niego, to mówiąc, i nie spytała o nic. Takby on wolał, żeby rzekła; ale ona tak zawsze cicha była i nieskarżąca się nigdy!

— Łucys — rzekł, — chodź do kramu. Kupię tobie chustkę, a sobie szalik, taj pójdziemy razem do domu.

— Nie chce! Na co mi chustka?

— Ot za pranie ci zapłacę!

— Nie płacił ty mnie do tej pory, to i teraz nie trzeba. Płac, kto łakomy na zapłatę. Spojrzała na jego koszulę i dodała z pewną dumą:

— W bielsze ja ciebie ubierałam. A no, ja oprócz rąk nie mam, to muszę lepiej się starać!

— Jak ty się odrzuciła, to i tak cierpię!

— Ja się nie odrzucała, ino komu służysz, ten niech ciebie patrzy!

Szli tak, rozmawiając, i natknęli się na Karpinę z Olenią.

— A co? Nie wywróciłeś wdowy! — zaśmiał się Huc.

— Choroba na nią!

Szli we czworo. Dziewczęta naprzód, chłopcy za nimi.

— Kiryk czapkę ukradł i odebrali! — Widziałeś!

— Nie! Nu, nabije go dziad'ko!

— Czego! — Stary nie lepszy.

— Nabije, bo nie udało się!

— Aha! — A ty co kupił?

— Nic. Niema za co!

— Ot hultaj! — Nie mogłeś to zarobić.

— Zarobił, to dziad'kowi oddaję!

— Urodzi ci bocian żrebię, jeśli co zobaczysz. Chodź, wypijemy piwa. Od wódki ja się odklą!

A dziewczęta szeptały między sobą.

— Za tobą, Łucysiu, czego on chodzi? — pytała Olenia — toż do wdowy idzie!

— Niechaj idzie, kiedy sądzono! — A ty prędko idziesz za męża?

— W pierwszą Niedzielę po Bogosławie. Już i bodnia gotowa i ręczniki pokrojone.

— Dobrze tobie.

— Ale — dobrze. Ino się boję, że bardzo prędko.

Bić będzie, bo i „pobożył się“ (zaklął się), że ubije, jak na drugiego spojrzę.

— To i lubi.

— A ciebie Tychon już weźmie!

— Czy ja wiem! — Może mnie Kniazie weźmą! I nagle łyzy poczęły biedz po twarzy, — i w bok się zwróciła, i w tłumie przepadła.

— Co jej? — zagadnął zdziwiony Karpina.

— Czy ja wiem! — zawołała Olenia. Żurba ją jakaś dręczy!

Stali na progu karczmy — więc weszli. Docisnęli się do stołu. Karpina kazał podać piwa. Izba była pełna pijanych, i tak dymna i ciasna, że na nich nikt uwagi nie zwrócił.

Wypili; Karpina zafundował bułek, zapalił z fantazyą gotowego papierosa.

Człek jakiś z waszecia go zaczął.

— Ty, chłopce, dworak?

— Czemu?

— Ot, takiś czysty i ostrzyżony!

— Nu, dworak.

— A może ci służby trzeba? Ja ekonom z Kończyce.

— Ja dworak, ale ja służby nigdy nie szukał. Ja Huc — z Hrywdy. Zrodził się na pańskim polu; taj na niem umrę.

— Huc z Hrywdy! No, to ja o was słyszał. Darujcie. Nie dostanę was — choćby chciał. Was Laszkami drażnią.

— Ale ja — Karpina Laszek — u durniów, a u pana mego — ja przyjaciel, taj dziecko.

— Wypijcież ze mną piwa, na znajomość! Ekonom postawił drugi garniec Zepchnięto dwóch pijanych pod ławkę — i usiedli nowi znajomi.

Kalenik dogryzał bułkę i po tłumie się obzierał. — Wtem z alkierza żydowskiego wypadła dziewczyna, za nią zgraja żydów i żydówek.

— Ty sielma, złodziejka! — wyla tłuszcza. Dopadnięto dziewczynę u progu, poczęto ją skubać, szarpać, bić i łżeć.

Kalenik poznał swą siostrę Hannę.

— Do policyi, to turmy ją! — krzyczano.

Obojętny — parobek patrzył. W strzępach krasnej spodnicy, w podartej koszuli, bez chustki, bosa, roztargana, czerwona, dziewczyna miała się jak furja, zasłaniając piersi, gdzie za koszulą coś ukryła widocznie.

Biła, gryzła, kopała nogami, wrzeszcząc przekleństwami, to kłacząc z bólu. Nareszcie ciekawość przemogła: Kalenik się ruszył.

Poznawszy go, Hanna rzuciła się w tę stronę.

— Kalenik, hołubku, sokoliku! — Ratuj!

Ale on ją za ręce porwał, rozkrzyżował, i dobył z za koszuli, chustkę czerwoną, bawełnianą — nie nową nawet.

Jej-to tak broniła, jak wilczyca.

— Ty — ścierko! — mruknął; ale w tem syknął z bólu, bo dziewczyna, rozwścieczona, ugryzła go w ramię, pchnęła i uciekła na plac, a za nią poleciały z rąk bachorów garście błota, skurupy, śmiecie.

Chłop chustkę żydom cisnął i, zawstydzony śmiechem ludzi — widzów — wyszedł, głowę, weisnąwszy w ramiona.

Znowu go tłum pchał, tu i tam — do kozuchów, do świt, do butów; dostawał hołoblami w plecy, łokciami w boki, wpadał na innych gapiów, grzązał w rozmiesionem jak ciasto błocie.

Rynek był mrowiskiem, które zionęło z siebie kłatwy i swąd zmieszany dziegiem, wilgoci, dymu i nawozu. A przeważały w tem mrowiu barwy siwe i białe, gdzieniegdzie krasnym punktem upstrzone, i sterczały ponad tłum dachy zapadłe kramów, drzewa, bożnica żydowska, a niebo siało z góry deszczyk, drobny jak mgła.

Przed kramem z drobiazgami stanął Kalenik. Myślał długo, przetrząsał to i owo, pytał o cenę, odchodził i wracał; wreszcie kupił cztery obwarzanki i tytoniu tylko paczkę, dostał w dodatku paczkę zapalek za grosz i, zapłaciwszy należność — odszedł. Stracił chęć do wszystkiego, bo sobie nagle wołu przypomniał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## RUCH MUZYCZNY.

Nieco długie milczenie nasze było koniecznym następstwem ciszy, która przez pewien czas w sferach muzycznych zaległa, natomiast, jak to już bywa w przyrodzonych prawach świata, po ciszy i spokoju, obudził się ruch tem silniejszy, tem pełniej zadrgało życie. Dyrekcyja Teatrów wystąpiła z koncertem symfonicznym, zaprodukowała na scenie nowego tenora; konserwatorium rozpoczęło drugą seryą swych wieczorów muzyki kameralnej. Lecz należy wedle porządku roztrząsać te miłe wrażenia, przy źródle których orzeźwia się i podnosi duch ludzki skołatany codziennymi prozaicznymi sprawami.

Na czele idealnych przyjemności naszych musimy postawić koncert, który z rozrywką artystyczną zespolił szlachetny cel, albowiem dorzucił cegiełkę ku trwałemu uczczeniu drogiego nam mistrza. Był to koncert na pomnik Moniuszki, zorganizowany przez Mierzwińskiego. Zbytecznym dodawać, że serdeczna idea i czynny współudział króla tenorów zjednały koncertowi rzadkie powodzenie. Z zachwytem zawsze słucha się tego głosu przepysznego, mimowoli czując się porwanym falą pełną i bezbrzeżną a nieznaną tamy, gdzie kompozycje mniejsze, których cały wdzięk na subtelnem wyrzeźbieniu polega, nikną jak drobne kropelki, by przeistoczyć się i wyłonić potem w zupełnie innych, potężnych jakichś, częstokroć nadmiernych, kształtach. Licz-



ba numerów zapowiedzianych programem potroliła się niemal, dzięki wspaniałomyślności artysty, uwieńczoną zaś została świetnym wykonaniem Siciliany z „Roberta Dyabła“. Niemniejsze jednak tryumfy i artystyczna waga tego koncertu przypadły w udziale pp. Michałowskiemu i Barcewiczowi. Pierwszy z nich dał nam „Scherzo“ Szopena, „Romans“ Schumanna, „Barcarollę“ Rubinsteina i „Poloneza“ Szopena, każąc podziwiać obok świetnej techniki, szlachetne swe poczucie, serdeczną poezją i gust wytrawny, z jakim dzieło każde we właściwym stylu i charakterze umie utrzymać. Barcewicz znakomicie odtworzył swą grą wykonaną i poważną: „Fantazję z Meistersingerów“ Wagnera, w opracowaniu Wilhelmiego, „Tańce cygańskie“ Nachëza i „Gawot“ Bohma. Dziarska zawsze „Lutnia“, zagrzana pięknym celem, znalazła się też na estradzie w zwartym szeregu, wybraawszy ze swojego repertoaru najulubieńsze melodie, a między innymi: „Znasz li ten kraj?“ „Matka już zasnęła“ Moniuszki i „Marzenie“ Szopena. Podzięką należy się jeszcze p. Melcerowi, który z całym zamiłowaniem podjął ważną acz skromną rolę akompaniatora.

Symfoniczny koncert Dyrekcyi Teatrów (d. 22-go bieżącego miesiąca) zdołał tym razem przyciągnąć liczniejszą niż zazwyczaj publiczność, posiadał bowiem taką atrakcję, jak pani Carreno, która już poprzednim swoim występem zelektryzowała słuchaczy. Obecnie, poznawszy lepiej tą artystkę, można śmiało twierdzić, iż jest ona niepopolitem zjawiskiem w świecie wirtuozostwa; że nie tylko jednoczy w sobie wszystkie cenne przymioty techniki, jakie pojedynczo spotykają się u najznakomitszych wirtuozów, lecz iż doprowadza je do granic sięgających niekiedy ponad wymagania. Jaśniej się tłumacząc, powiemy, że ten ogrom siły, te porywające tempa, tryle zdwajane oktawami, efekty wywoływane przez piorunowe uderzenia jednym palcem, — słowem: cały zasób potęgi, ognia, fizycznej, a zawsze zwyciężkiej szermierki z trudnościami, mógłby słuchaczowi dać zapomnieć, że poza przepyszną formą zewnętrzną mieści się w pewnych kompozycjach coś więcej do pochwylenia, do odczytania, coś, w co się należy wtajemniczyć duchem, a czego najświetniejsze iskry techniki, werwy, brawury, temperamentu wreszcie, nie uwydatnią i nie podniosą bez intuicji, bez natchnienia, które wszelako — do nabycia nie jest! Gra pani Carreno dałaby się czasem porównać do arcydzieła rzeźby w posągu o najdoskonalszych kształtach, proporcjach i układzie nawskroś estetycznym, lecz wymiarów kolosalnych, przechodzących zakres oka ludzkiego, które bądź co bądź zawsze jeszcze pragnie odnaleźć wyraz i znać ducha w subtelnych odcieniach i rysach. Summując poprzednie nasze wrażenia i to, co obecnie wypowiedzieliśmy z głębi przekonania naszych, zaznaczymy, iż znakomitą interpretację w pani Carreno znajdują dzieła Liszta i wielu jeszcze nowszych kompozytorów, w których temperament i namiętność idą w parze z błyskotliwymi efektami formy; ale Beethoven oraz Szopen, ci duchowi potentaci, którzy poruszają struny idealnych, najszczytniejszych uczuć ludzkich, maleją i nikną pod palcami wirtuozki, która w odtwarzaniu ich dzieł, okazuje się bojaźliwą, niepewną, jakby poomacku błędzącą, gdy w innych razach posiada energią, sprężystością i zręcznością torreadora. Na koncercie symfonicznym pani Carreno oślniła swe audytorium koncertem Nr. 4, C moll Saint-Saënsa i „Fantazją węgierską“ Liszta, nie licząc nadprogramowych numerów jako wspaniałą nagrodę za luczne oklaski. W parę dni zaś potem na własnym koncercie dała nam „Sonatę Appassionatę“ Beethovena, „Etюдę“ Szopena Ges dur, „Nocturne“ Des dur i „Poloneza“ As dur; dzieła Rubinsteina, Liszta, Vorgirscha, Mac-Dowella i Brahmsa. Tegoż wieczoru mieliśmy sposobność usłyszeć pana Cynka, nowego wiolonczellistę, który wykonał koncert Saint-Saënsa, Adagietto Bizeta, Mazurka Römera, wykazując dużo pięknej techniki.

Teraz musimy oderwać się na chwilę od reminiscencji z występów solowych i powrócić do dzieł symfonicznych, które pod dyrekcją pana Rzebiczka rozbrzmiały z estrady w wyżej wspo-

mnianym dniu 22 Lutego. Naczelną numer stanowiła Symfonia 5 Raffa „Leonora“, wielce interesująca efektami instrumentacji, harmonią pełną i jasną, rozwijaniem się tematów w okresach wybornie zaokrąglonych; lecz tak, jak w literaturze niektóre utwory retoryczne, pięknym stylem opracowane, tak symfonia ta, więcej przekonuje rozumowo, niż zastanawia się i rozważać, aniżeli porywa lub wzrusza. Nie jest to skutkiem ubóstwa melodji, przeciwnie, melodyjność powabna, jak zwykle u Raffa, płynie łatwo i szlachetnie, tylko zbyt mało tutaj zawiera pierwiastku uczuciowego, któryby wzajem oddziaływał na struny uczuć słuchacza i budził je natchnionym, z głębi duszy rwącym się wyrazem. O wiele silniej przemawia dzieło Schumanna (2 numer orkiestralny), acz urywkowe i niemające nazwy wśród znanych form muzycznych. Składa się ono z Uwertury, Scherza i Finale zespalających się z sobą jednolitością stylu. Że jednak w Schumannie poza myślicielem i filozofem, krył się zawsze poeta, niezrządkiem w krainy fantazji sięgający, przeto i w jego dziele jest mnóstwo rzeczy, które uderzają niezwykłym powabem i kryją w sobie treść, gdzie słuchacz i do reflexji i do głębszej intuicji duchowej, szerokie znajduje pole. Trzeci nakoniec orkiestralny numer programu stanowiła Uwertura Berlioz „Benvenuto Cellini“. Berlioz jest to kompozytor zawsze wysoko ceniony, ze względu na swą świetną instrumentację, która w danej epoce była nawet śmiałym krokiem postępu w tym kierunku; dzieł swych jednakże nie zaznaczył on wybitnym, indywidualnym charakterem, nie zdołał zakłaść w nie szerokiej potężnych rzutów myśli, które dają twórcom piętno nieśmiertelne, a spuściznę jego stawiają już-to w rzędzie górujących arcydzieł, już-to jako znamię całkiem świeżych prądów i dążeń. O wykonaniu wszystkich dzieł orkiestralnych da się powiedzieć krótko a wymownie, iż nie pozostawiało ono nic do życzenia.

Na scenie opery naszej świeżo zaangażowany tenor p. Baldini pierwszy raz dał się słyszeć w „Rigoletto“, w roli księcia; na to pierwsze wrażenie, jako czynniki dodatnie, złożyły się: ładny głos, i swobodna wielce naturalna akcja, ujemną zaś stroną były: pewna nieśmiałość w atakowaniu nut, oraz niezawsze dystygnowane i szlachetne uwydatnienie efektów lirycznych, które w operze tej dopominają się interpretacji pełnej finezyi, powiewności i wdzięku. Partye: Rigoletta (p. Aleksandrowicz) i Sparafucile (p. Sillich) oddane były z wykończeniem artystycznym; primadonna zaś nasza pani Dowiakowska, przedzierzgnawszy się w postać jasnowłosej Gildy, śpiewem i akcją stała na wysokości swojego zadania. W operze „Mignon“ Thomasa, powtórnie spotkał się z p. Baldinim, lecz i tym razem nie wzbudził on entuzjazmu, raczej nużyło słuchanie śpiewu, gdzie co chwila zdradzało się utrudzenie fizyczne, wysiłek tamujący swobodne wydobycie głosu. Natomiast pani Cordier, której był to zarazem ostatni gościnny występ, odniosła tryumf w tytułowej partji: literalnie zachwycała słuchaczy pięknym śpiewem, grą subtelnie odcieniowaną i serdecznym uczuciem, z jakim potrafiła odtworzyć ów oryginalny typ Mignon, tak poetycznie przez kompozytora pojętej. Inni artyści: pp. Sillich, Kwieciński, Crotti, pani Lewicka, dołożyli sumiennych starań, by całość efektownie i składnie wyszła; należy jednak z szeregu wyróżnić jeszcze p. Dowiakowską, która z trudnej a na drugi plan usuniętej partji Filiny wydobyla na jaw mnóstwo pięknych szczegółów muzycznych, nie wykraczając ani chwil poza granice artystycznym smakiem zakreślone. Wogóle, śliczna, dawno nie słyszana opera dostarczyła publiczności bardzo przyjemnych wrażeń, począwszy od uwertury, bisowanej z zapalem.

Konserwatorium wybrało na pierwszy swój wieczór (serya 2) muzyki kameralnej, przede wszystkim interesujący kwintet Boccheriniego, pierwotny wdzięcznej, misternej tkaniny muzycznej, z owej epoki, w której wyszukana elegancja i gust estetyczny wyrafinowany był naturalnym żywołem wyższych warstw społecznych. Słuchając Boccheriniego, wydaje się, jakgdyby w ukłonach menueta przesuwali się przed nami

ci ludzie o koronkowych żabotach, ledwie dotykający stołą lustrzanej posadzki budoarów, tak powabni w swej lekkiej atmosferze komplimentów i filuternych zasadzek Amora. Lecz jak wspomnienie owej epoki stanowi już ledwie dochwytą mrzonkę, tak i muzyka ówczesna nie jest już dziś typem, któryby w duchu i prawdzie mógł jeszcze powrócić.

Następny numer koncertu stanowiła Sonata Szopena na fortepian i wiolonczellę (pp. Schlözer i Aloiz). Nie będziemy długo rozwódzić się nad jej dodatnimi stronami, nad ową nutą śpiewną, która i tu słodko dźwięczy ilekroć odezwie się z serca nieśmiertelnego pieśniarza, zaznaczymy tylko, że faktura dzieła, daleką jest od maëstryi, z jaką Szopen sam fortepian traktował, przeciwnie znać nieobycie się z efektami smyczkowymi i zbiorowemi, wogóle zatem całość słabe czyni wrażenie. Nakoniec kwintet Mendelssohna op. 18, zagrany, jak wszystkie zresztą numery programu, wysmienicie, należy do rzędu dzieł indywidualnych, których autora poznać można od razu, słucha się tego tem przyjemniej i łatwiej, nieoczekując żadnych gwałtownych niespodzianek. Twórca genialny, musi być naturalnie zawsze i wszędzie sam sobą; lecz mało takich którzyby, jak Mendelssohn, od lat młodzieńczych do zupełnego rozwoju talentu, zachowali pierwotny duchowy bez przełomów i zwrotów kierunku.

Z wieczorów Towarzystwa Muzycznego zapiszemy dziś tylko jeden większy wieczór wysoce artystyczny, dzięki wykonawcom i wyborowi dzieł prawdziwie interesujących. Pani Vincenti, pięknym obdarzona głosem, nie traktuje artystzmu podyletancku, czyniąc zeń piedestał do popisowych sztuczek, ale odczuwa myśli kompozytora, opracowuje szczegóły *con amore*, używając w miarę kolorytur i odcieni. Innym razem z większych kompozycji odśpiewała arją z op. „We-sele Figara“ Mozarta i na tle chóru partyą solową w finale I aktu „Loreley“ Mendelssohna. Pan Aloiz w Allegro z koncertu H-moll Romberga, miał pole rozwinąć bogactwa swej techniki, śpiewność tonu, niepokalana czystość gry, przymioty tem cenniejsze, że idą w parze z inteligencją i dobrym smakiem. Piękny wieczór urozmaiciła deklamacja pana Oskara i staranne wykonanie kwartetu smyczkowego, gdzie każda część wybrana była z innego autora, mianowicie: „Allegro“ Haydna, „Waryacje“ Schuberta, „Menuet“ Boccheriniego i „Allegro Finale“ Beethovena.

Jeszcze jedno miłe wspomnienie, które pozostawiliśmy na sam koniec dzisiejszej naszej pogawędki. Jest niem koncert na rzecz kolonii letnich dany zeszłego Czwartku ze współudziałem pp. Kaszowskiej, Heleny Modrzejewskiej, oraz pp. Michałowskiego i Barcewicza. Ale, czyż można po szczególe rozbiierać wciąż cechy talentu znanych i adorowanych przez publiczność naszą potentatów sztuki? Grę Barcewicza znamy tak dobrze wszyscy; niemniej wszakże słuchamy jej za każdym razem oczarowani i zachwyceni. Cóż powiedzieć o pani Modrzejewskiej, której deklamacja *en relief* wyprowadza utajone w poezjach czary dźwięków, obrazów i myśli i z każdego utworu prawdziwe czyni arcydzieło! Entuzjazm publiczności wzrastał i wzrastał, a ciasne ramy programu rozszerzały się coraz bardziej, albowiem artyści wspaniałomyślnie wywdzięczali się za owacye darami swego talentu.

W połowie bieżącego miesiąca ucztę muzyczną przygotowuje Konserwatorium, wytrwała Instytucja, w której mury, garnie się corocznie liczny zastęp młodzieży spragnionej wiedzy i kierunku artystycznego. Publiczność nasza niewątpliwie przyjmie do serca ideę poparcia tej Instytucji, ideę połączoną znowu z podniosłymi wrażeniami; przygotowuje się bowiem kilka wielkich a nieznanych u nas dzieł orkiestralno-chóralnych, oraz zapewniony jest współdziałanie znakomitej i sympatycznej fortepianistki, pani Anetty Essipow.

Juljusz Stattler.



## KOBIETA W AMERYCE.

(Dalszy ciąg).

Przeciętny poziom umysłowy kobiet amerykańskich o wiele niższym jest od europejskiego; ale zato w Ameryce znajduje się więcej kobiet prawdziwie wyższych pod względem umysłowym, a przytem pełnych oryginalności i wdzięku. W Europie kobiety możnaby podzielić na odrębne typy: *gospodyń*, zajętych wyłącznie domowym zarządkiem; *dewotek*, oddanych nabożeństwu i filantropii i *kobiet światowych*, ubiegających się li tylko za zabawami. Amerykanki wszystkie te trzy typy łączą razem w sobie, bo przeważna ich liczba nie ma czasu poświęcać się wyłącznie nabożeństwu, ani też posiada dostateczny majątek na to, aby zdać na służbę zarząd domu, a żadna prawie nie potrafi poskromić wesołego swego temperamentu, tak ażeby odsunąć się zupełnie od świata. Można więc ostatecznie podzielić Amerykanki na dwie klasy: kobiet *poważnych* i *lekkożylnych*. Pierwsza z nich obejmuje artystki, *sawantki*, autorki, dewotki katolickie i protestanckie, metodystki, filantropki, a nawet te egzaltowane istoty, szczerze i dobrodusze, które apostołują i wygłaszają najdziwaczniejsze doktryny. Liczna ta falanga niewieścia usiłuje ściągnąć największą liczbę prozelitów i w tym celu prowadzi zarliwą propagandę swych zasad, bo w córach awanturników zbiegłych zza morza tleje, nie na żarty, duch apostołstwa.

Ale druga większa połowa Amerykanek w jakiz sposób żyje? — czem się trudni? — jak określić jej charakter?

U nas, w Europie, dziewczęta zamłodu już marzą o posiadaniu własnego domu, kochającego męża i dzieci. W Ameryce żadnej pensyonarce nie przejdzie nawet przez głowę nic podobnego. Matka jej nigdy nie zaznała słodyczy rodzinnego pożycia; cichej rozkoszy wspólnie dzielonych pociech i smutków, bo nie przeszła przez życie wsparta na bezpiecznym a kochającym ramieniu, któreby ją otoczyło opieką i pieśczęcią. Życie rodzinne jest więc zgola nieznane w Ameryce, w tem znaczeniu, jak my je pojmujemy w Europie. Amerykanka, rozporządzająca umiarkowanymi środkami, nie tworzy własnego *home*, ale całe życie swoje nieraz spędza w *boarding-house*, to jest *en pension*. Kobieta, która straciła majątek, a chce żyć dalej dostatnio, otwiera taką pensyę, którą dawni jej znajomi przychodzą zamieszkiwać; bo w wielkiej rzeczypospolitej każdy ożywiony jest szlachetną chęcią przyjscia w pomoc temu, komu nie dopisało powodzenie. Tym sposobem zruinowana kobieta nie traci stanowiska, zachowuje dokoła siebie dawne swoje towarzyskie kółko i ma zarazem zapewniony byt powszedni. Zarządza nadal swoim domem; prowadzi kuchnię dla wszystkich, a wieczorem, w salonie swoim gromadzi gości. Jednym słowem: używa życia poswojemu, a jej pensyonariusze także, bo zmniejszone koszta wspólnego utrzymania pozwalają im korzystać z wygod, a nawet i zbytku, na który nie stać-by ich było gdyby zmuszeni byli prowadzić własny swój dom u siebie.

Ten systemat utrzymania oszczędza kobietom wiele czasu, kłopotu i kosztów zaprowadzania nowego gospodarstwa i pozwala im żyć na szeroka skalę przy bardzo miernych stosunkowo środkach. Nie dziw też, że dwie trzecie mieszczanstwa, a nawet ludzie wszystkich szczebli społecznych, korzystają z takich pensyi i chętnie się w nich osiedlają.

W tym kraju, gdzie z dnia na dzień nędzarz zostaje bogaczem, nieruchomości co chwila przechodzą z rąk do rąk. W 5-ym szpalerze w New-Yorku, to jest w dzielnicy gdzie wznoszą się najwspanialsze pałace arystokracji finansowej, wykazano nam statystycznie, że zmieniają one właścicieli przeciętnie co pięć lat. Póki pałace te są zamieszkałe, bale i przyjęcia następują

jedne po drugich. Nagle przychodzi krach: komornik zagarnia wszystko i ogłoszenie o licytacji przyklepia nad bramą.

W Europie każdy dąży tylko do tego, aby zapewnić sobie spokojny byt na starość i wycofać się z interesów. Celem życia Amerykanina nie jest nigdy spokój ani wytchnienie. Pomyślna okoliczność sprzyja zaczątkowi kariery, a gorączkowa energia prowadzi dalej rozpoczęte dzieło; ale od początku do końca Amerykanin pędzi jednakowo podniecone i ruchliwe życie, siejąc pełnemi rękoma złoto, w miarę je jak zarabia. Wraz z dochodem zwiększa się i rozchód, mnożą się potrzeby i wyradza się zamięłowanie w zbytku. Gdyby nie assekuracja życia, jedyna forma przeczności na jutro, wypadki ruiny i pograżenia w nędzę całych rodzin, przytrafiałyby się jeszcze częściej, niż obecnie.

Te ciągłe przewroty fortuny i zmiany w kierunku wielkiej maszyny społecznej, dały powód do założenia mnóstwa instytucji mających na celu niesienie pomocy wstydzającym się swej biedy. Ta jest tylko różnica z Europą, że tam nikt właściwie nie wstydzi się ani ukrywa swego niedostatku. Bo i cóż jest w tem hańbiącego? Rodzice pracowali, dzieci będą pracowały, gdy dorosną. Stracili pieniądze; no to i cóż z tego? Każdemu się to może przytrafić. Wezmą się znowu do pracy i może im się lepiej tym razem poszczęści. Ale niechże wiek lub choroba nadwątlą siły matki rodziny; niechże przybędzie ust do wyżywienia, a ojca lub brata-opiekuna nie stanie naraz — wtedy odważna młoda dziewczyna amerykańska niezwłocznie śpieszy na pomoc swoim, zdwaja energią i pracę, a w towarzystwie, w którym jaśniała niedawno uroda i wdziękami, wszyscy prześcigają się w niesieniu jej pomocy.

Wiele instytucji dobroczynnych zostało założonych dla kobiet, które utraciły majątek, a z tych najczynniejszą jest „Giełda niewieścia“, (*the Ladies Exchange*). Tu jednakże nie gra ani hazard naprawiają szczyby wyrządzone w fortunie tych kobiet wykwinie wychowanych a odważnych; ale miłosierdzie, praktycznie pojęte i znakomicie zorganizowane, w sposób ujmująco delikatny podaje dłoń tym, które są w potrzebie, oszczędzając przytem miłość ich własną. Oto organizacja tej znakomitej instytucji, która po dziś dzień ma już kilka filii w samym New-Yorku i innych miastach Stanów Zjednoczonych.

Kobieta żyjąca sobie korzystając z rzeczonych instytucji winna podać sekretarzowi zakładu, pod zapewnieniem najściślejszej tajemnicy, imię swoje, nazwisko i adres. Wtedy za sumę 5 ciu dolarów rocznie otrzymuje prawo wystawiania tamże próbek wszelkich robót swoich jako to: haftów artystycznych, konfitur, malowideł na porcelanie, bielizny, ubranek dziecięcych i tych tysiąca drobiazgów, które tak zręcznie wyrabiać umieją paluszki niewieście. Podczas świąt Bożego Narodzenia i na Nowy Rok całe towarzystwo, najbardziej eleganckie, poczytuje sobie za obowiązek robić zakupy swoje świąteczne w tym bazarze. Nieraz zdarza się, że jaka milionerka obecnie chwili podziwia i bezwiednie zakupuje robotkę wyszłą z rąk swej ubogiej siostry. Ponieważ damy najstarszej arystokracji New-Yorku wywodzą się z Hollandyi i niejedna z nich przechowała tradycje i przepisy kuchenne tych niezrównanych a słynnych w świecie całym gospodyń, — to też ciasta, syropy i konserwy wszelkiego rodzaju, wybitne znajdują miejsce pośród przedmiotów umieszczonych na wystawie. Z tego powodu opowiadano mi jako fakt ciekawy, że niejaka pani B. wpadła na pomysł posyłania codziennie do bazaru, w porze podwieczorkowej, gorących jeszcze a wymienionych ciasteczek, których przepis dostała od swej babki. — Amerykanki przepadają za słodyczami. Te *ciasteczka babcine* jak je przezwano, znalazły tylu konsumentów, że zewsząd zaczęto nadsyłać zamówienia. Dziś pani B. z zarobku swego kupiła sobie mały *cottage* na przedmieściu, otworzyła zakład cukierniczy, a wkrótce może już go odprzedać i przyjedzie, jak wiele jej współrodaczek, zachwycać Paryż urokiem wdzięków swych, i zalet — i pieniędzy.

Trzeba jednak dodać, że do stowarzyszenia zakradły się nadużycia, ale te wynikają z zasady nieograniczonej wolności amerykańskiej. I tak giełda niewieścia eksploatowana jest przez młode dziewczęta, których potrzeba nie zmusza wcale do pracy. Niektóre panny zamożne, posiadające jakibądź talent, sprzedają za pośrednictwem zakładu wyroby swoich pracowitych rączek, aby powiększyć sumę przeznaczoną na przyjemności i wydatki niekonieczne, różnego rodzaju jakoto: teatru, koncerta, poranki muzyczne, lekcje literatury cudzoziemskiej.

Tune znów Amerykanki pracują igłą, piszą do dzienników, malują, haftują, dlatego tylko, aby nie zwaryować z bezczynności i nudów. Zamiast męża, szukają rodzice dla każdej młodej dziewczyny apatycznej i nerwowej jakiegoś użytecznego zajęcia. Nawet u mężatek i matek rodziny potrzeba pracy odzywa się niekiedy tak silnie, że lekarz zaleca *obranie sobie jakiegoś powołania*.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Wiadomości z Hygieny i Medycyny Popularnej.

### Serce.

(Ciąg dalszy patrz Nr. 8).

Otóż przyrząd ten ulega czasami zepsuciu i wtedy to mamy do czynienia z chorobą, albo wadą serca.

Do tego rodzaju cierpień, prócz wyżej wymienionych przyczyn zewnętrznych, przyczyniać się mogą, jak łatwo zrozumieć, i wewnętrzne. Widzieliśmy, że krew zasila cały organizm, że odbywa się to skutkiem skurczów i rozkurczów serca, że płyn ten odnawia się skutkiem zetknięcia się krwi z powietrzem w płucach. Otóż z chwilą gdy jakikolwiek organ podlegnie zaburzeniom w wykonywaniu swej funkcji, musi to z konieczności oddziaływać na serce, które zostaje zmuszonym do wykonywania większej pracy. Wogólnych chorobach, np. w tyfusie, połączonej z gorączką, przyspieszona czynność serca, objawiająca się kurczeniem jego 100, 120 albo nawet i więcej razy na minutę, usiłuje wydalić w ten sposób zarazek z organizmu. Dalej niehygieniczny sposób życia, a głównie brak ruchu, albo zbytne wysiłki oddziaływają również ujemnie na serce. Wreszcie wszystko to, co spowodowywa nieprawidłową przemianę materii, może oddziaływać na mięsień sercowy, sprowadzając przerodzenie się jego, przerost i t. p.

Skutkiem owych wpływów, do których jeszcze dodać należy zaziębienie, serce podlegać może różnorodnym chorobom, które raz posiadają przebieg ostry, jak np. zapalenie mięśnia sercowego, osierdzia i t. p., kiedyindziej przewlekły, jak: stłuszczenie, przerost, zanik, niedostateczność zastawek, zwężenie ujść wielkich naczyń i t. p.

Co do objawów subiektywnych chorób sercowych, to głównymi są: kołatanie serca, ból w klatce piersiowej, ciśnienie (*oppressia*) i duszność. Co do obiektywnych, to rozpoznane one być mogą jedynie przez lekarza za pośrednictwem opukiwania i wysłuchiwanie.

I dla tego te ostatnie pomijamy tu w zupełności. Powiemy tylko, że jedynie za ich pomocą możliwe jest ostateczne zdiagnozowanie choroby sercowej.

Bardzo wiele osób, doznających jednego z owych czterech objawów subiektywnych, albo kilku naraz, sądzi się być dotkniętymi wadą sercową. Tymczasem wydarzać się one mogą u ludzi, mających serce w prawidłowym stanie i odwrotnie poważne choroby sercowe przebiegać mogą pomimo braku objawów. Dlatego też najważliwiej w wątpliwych razach polegać na zdaniu lekarza.



A teraz kwestye najżywotniejsze: Jak zapobiedz chorobie serca i jak, dostawszy jej, pozbyć się albo przynajmniej w możliwy sposób przedłużyć sobie życie i uczynić je znośnym?

Znakomity lekarz Napoleona I, D-r Corvisart, zaliczał do przyczyn mogących spowodować chorobę sercową: krzyk i kwilenie dziecka, śmiech, płacz, taniec, bieganie, skakanie, fechtowanie się graniem na dętych instrumentach, śpiew, deklamacja, czytanie sensacyjnych książek, wszelkiego rodzaju wysiłki, kaszel, wpływy atmosferyczne. Proszę się jednak tem zbyt nie niepokoić, i nie sądzić, że, w celu uniknięcia choroby sercowej, trzeba pędzić życie na obraz i podobieństwo fakirowców indyjskich. Powyższe wpływy oddziaływają bezwątpienia na serce, stać się zaś przyczyną choroby mogą tylko wówczas, gdy działanie ich jest nadmiernem, długotrwałem, albo gdy dotyczą osoby posiadającej skłonność do niej. Jeżeli zatem ktoś pochodzi z rodziny, której członkowie chorują na serce, jeżeli sam doznaje ze strony tego organu pewnych zaburzeń, o których wyżej mówiliśmy, jeżeli często zapada na cierpienia reumatyczne, uczyni bardzo rozsądnie, gdy od czasu do czasu zasięgnie porady lekarskiej i żyć będzie według praw nakreślonych przez higienę, które tembardziej stosują się do osób dotkniętych wadą sercową. Przytaczamy z nich najważniejsze według klasycznego opisu profesora uniwersytetu w Zurychu, D-ra Hermana Eichhorsta.

„Chorzy tego rodzaju powinni unikać wszelkiego rodzaju wysiłków cielesnych i umysłowych; szkodliwie na nich oddziaływają: gymnastyka, taniec, konna jazda, bieganie, szczególnie źle oddziałują męczące i długotrwałe spacerowanie po górach; podobny wpływ wywiera odbywanie dalszych podróży koleją żelazną. Pomimo to korzystnie jest odbywać przechadzki na świeżem powietrzu, lecz nie dobrze jest przedłużać je aż do wywołania kołatania serca, duszności i zmęczenia. Szczególne ostrożności zachowywać wypada, kąpiąc się. Jeżeli wogólności możliwym jest zezwolenie na branie zimnych rzecznych albo morskich kąpiei, natenczas chorzy kąpać się powinni w obecności innych osób, i to, nawet, gdy są doskonałymi pływakami, na płytkiej wodzie. Wpływ zimnej wody na naczynia skóry, a jednocześnie i na całe krążenie krwi, powodować może smutne bardzo następstwa. Nie mniejsze ostrożności zachowywać należy przy braniu ciepłych kąpiei, albowiem nie wszyscy chorzy znoszą je dobrze. Zimne nacieranie robić można jedynie tym chorym, u których nie powodują one objawów chorobowych.

„Unikać należy wszelkiego rodzaju pokarmów trudno-strawnych. A zatem odżywiać się trzeba głównie mlekiem, jajkami, rosółem, nietłustem mięsem i kompotami. Spożywać należy często, mniej więcej co dwie godziny, w nieznacznej naraz ilości, ponieważ przyjęcie wielkiej ilości pożywienia sprowadza kołatanie serca, duszność i ciśnienie. Za napój można używać w nieznacznej ilości białego, lekkiego wina. Wysokowe napoje, mocna kawa i herbata działają szkodliwie i należy ich w zupełności zaniechać, gdyż powodują zaburzenia ze strony serca. Wogólności pić należy niewiele, płyny bowiem zwiększają ciśnienie w naczyniach krwionośnych, a zatem jedynie tyle, aby uspokoić gwałtowne pragnienie.

„Wypróżnienia powinny mieć miejsce codziennie, a w razie ich braku trzeba pomagać funkcji kiszki nastrykiwaczem, aloesem, rzewieniem i t. p. Korzystnie działają także wody gorzkie, jak Friedrichshall, Püllnau, Hunjady, Marienbad, Tarasp i t. p.

Bardzo często korzystny wpływ wywiera na chorych zmiana miejsca pobytu. Dotknięci wa-

dami serca czują się dobrze w miejscowościach cieniistych, niezbyt wzniesionych; pamiętać jednakże należy, aby znajdowały się równiny, na którychby chorzy mogli się przechadzać. Przebywanie nad brzegiem morza powoduje u wielu chorych objawy subiektywne. Podczas miesięcy zimowych bardzo korzystnie działa wyjazd na południe, a więc: do Meranu, Arco, Pizy, Mentony, San-Remo, Nicei i t. p. Co do podróży okrętami, to dozwolnić ją można osobom nieprzechodzącym choroby morskiej.

Potężne środki posiada medycyna w naparstnicy i *Strophantus*, które jednakże powinny być przyjmowane jedynie z polecenia lekarza.

Wreszcie wspomnieć jeszcze wypada o metodzie Oertla, zasadzającej się na umiarkowanym chodzeniu po górach i zachowywaniu odpowiedniej diety. Jest ona jednakże korzystną tylko w pewnych okresach chorób sercowych, i dlatego nikt jej bez przepisu lekarza przedsięwziąć nie powinien.

Dr. Józef Starkman.

## Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie donoszą, że statut Akademii sztuk pięknych ulegnie radykalnej zmianie. Pracuje nad tem obecnie kommissya specjalna.

— W Petersburgu ma być utworzonym muzeum przyborów myśliwskich.

— Plan rozszerzenia parafialnego kościoła Ś-go Karola Boromeusza już został wykonany. Według kosztorysu potrzeba tu jest blisko czterdziestu tysięcy rubli, które zebrać się mają drogą składek. Magistrat zawiadomił, że ktoś z mieszkańców Warszawy zadeklarował złożenie na ten cel 20.000 rs.

— Przebudowa kościoła Ś-go Aleksandra musi ulec zwłoce z powodu braku funduszków. W bieżącym roku dokonać się mają te tylko roboty, na które już zamówienia poczynione zostały. Od strony Nowego Świata ustawione będą grupy rzeźbione z kamienia, wyobrażające cześć imienia Jezusa i Maryi, oraz posągi aniołów na szczytach kopuł bocznych. Woydyga wykonywa obecnie te prace.

— Budowa w mieście naszym małych domków, wypłacających się na raty, ma przyjść do skutku w roku bieżącym. Szkoda, że myśl tego praktycznego, pożytecznego przedsięwzięcia, które zapewne się powieździe, wyszło od cudzoziemców i wykonaną będzie za pomocą obcych, francuzkich kapitałów.

— Andriolli wykończył dwa kartony wielkich rozmiarów, ilustrujące epizody z „Pana Tadeusza“.

— Nowe wydanie powieści Sienkiewicza „Pan Wołodyjowski“ opuściło prasę, wydane nakładem Gebethnera i Wolfa.

— Odbitka z *Biblioteki Warszawskiej* „Spiszcina literacko-pedagogiczna po Stanisławie Jachowiczu przez Florjana Łagowskiego“ wyszła oddzielnie. Rzecz wielce sympatyczna, bo budzi wspomnienie o człowieku bardzo szlachetnym i zasłużonym pracownikowi na niwie dobroczynności publicznej, o zasłużonym nauczycielu, kochanym jak ojciec przez tych, których nauczał.

— Dr. Sewer Sterling napisał dziełko pożyteczne dla matek zbiór praktycznych wskazówek z higieny dziecka. Znajdują się tam obja-

śnienia, jak dziecko powinno się żywić, spać, leżeć, kąpać. Tytuł jest: „Dziecko“.

— Dzienniki nasze donoszą o rezultacie konkursu na najlepszą sztukę teatralną, rozpisanego w Krakowie z fundacji Wołodkowicza. Nadesłano utworów pięć „Prorok i jego lud“, „Jadwiga Firlejówna“, „Votum krakowskie“, „Król Bolesław“, „Irena“. Ponieważ żadna ze sztuk nadesłanych nie odpowiedziała warunkom żądanym, konkurs zostanie rozpisany nanowo.

— Reprodukcyja obrazu p. Wacława Szymanowskiego: „Spotkanie“ zamieściła niemiecka „Illustrierte Zeitung“.

— Prof. Struve został zaproszonym przez wydawcę lipskiego, Brockhauusa, do współpracownictwa w nowym wydaniu jego wielkiej Encyklopedyi. Prof. Struve obejmie dział filozofii i sztuki polskiej.

— D-r Józef Rastafiński, prof. wszechnicy jagiellońskiej, napisał do rady miejskiej Krakowa list otwarty w sprawie wyboru miejsca na pomnik Mickiewicza. List został napisany wskutek nowo ukutego projektu komitetu, aby utworzony został jako miejsce na pomieszczenie pomnika, półkolisty plac przed samym wylotem ulicy Sławkowskiej. Koszt 24.000 zł. reń. ofiarował się komitet ponieść sam. Mimo to list prof. Rastafińskiego zyskał jednomyślnie uznanie ogółu krakowskiego. Koszt wzniesienia pomnika na placu przed Sukiennicami jest o wiele niższy, niżeli ten, z którego ofiarą wystąpił komitet. Komitet liczy członków pięciu, a przeciwko jego propozycji podnoszą się głosy tysięcy. Sienkiewicz jest w tej liczbie.

— Budowę nowego teatru we Lwowie ostatecznie bierze na siebie gmina Lwowa. Nowy teatr będzie stanowczo wzniesiony na wylocie Wałów Hetmańskich, między ulicą Łukasiewicza a Skarbową; prace około budowy trwać mają półczwarta roku.

— Studenci uniwersytetu czeskiego przełożyli na język czeski dzieło Bolesława Limanowskiego, a redakcyja „Czasopisu czeskiego studentstwa“ ma je drukować w wydawanej przez siebie, „Naukowej Bibliotece“.

— Paryzka wystawa sztuk Pięknych „Salon“ ograniczyła na rok bieżący liczbę dzieł które wystawić mogą artyści francuzcy do 1800 obrazów i 400 rysunków. Żaden z artystów nie może umieścić rocznie więcej nad dwa obrazy.

— Międzynarodowa wystawa higieniczna w Brukseli otwarta będzie d. 15 Kwietnia, z trwaniem po d. 31 Maja.

— Dzieło Stanleya: „W najciemniejszej Afryce“ wyszło w przekładzie niemieckim w Lipsku, nakładem Brockhauusa, piąta już edycyja. Książka Stanleya, pisana do spółki z Jephsonem, „Emin Basza“ wyszła w drugiej edycyi. Obliczają, że dzieła Stanleya już zapewniły mu majątek.

— Chińczycy utrzymywali dotąd, że oni pierwsi wynaleźli bussolę na dwanaście wieków przed erą chrześcijańską. Obecnie pismo angielskie „China Review“ dowodzi, że, przeciwnie, Europa posiadała bussolę wcześniej, zanim Marko Polo odbył podróż do Chin, gdzie jakoby miał wykraść tajemnicę jej użytku. Bussola znana była Chinom dopiero w XII wieku.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 17-ty i 18-ty powieści pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae**, przez Roberta Ludwika Stevensona, przekład z angielskiego.

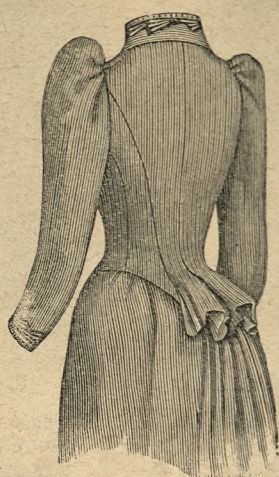
**TREŚĆ:** Pogawędka. — Fryderyk Szopen Jako człowiek i artysta (dalszy ciąg). — Hrywda. Powieść, przez Maryę Rodziewicz, (dalszy ciąg). — Ruch muzyczny, przez Juljusza Stattlera. — Kobieta w Ameryce (dalszy ciąg). — Wiadomości z higieny i medycyny popularnej. Serce, przez Dr. Józefa Starkmana. — Z bieżącej chwili.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 17-ty i 18-ty powieści, pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae** przez Roberta Ludwika Stevensona, Przekład z angielskiego. — Przegląd mód. — 32 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekretar gospodarstwie. — Dyspozycyja stołu.

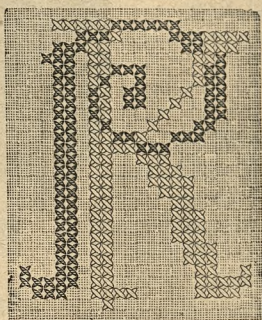




Nr 2. Suknia wizytowa (do ryc. Nr 1 i 5).  
Op. odwr. str. tabl.



Nr 1. Część tylna stanika  
do sukni ryc. Nr 2.



Nr 3. Monogram  
(ścieg krzyżowy).

Przegląd toalet teatralnych Modrzejewskiej.

Za zasługę uważamy pani Modrzejewskiej, że zbierając u nas wawrzyń, laury i złoto, zostawiła coś z tego złota, zamówiwszy wspaniałe toalety do „Damy kamelowej“ i „Odety.“ Dwie sensacyjne sztuki, gdzie wspaniałość toalety podnosiła wdzięki naszej tragiczki. Naturalnie, że toalety były od Herzego. W pierwszym akcie „Damy kamelowej“ suknia różowa ślicznego koloru róży była z adamaszku w pasy atłasowe i kwiaty, z czego był stanik i tren bardzo długi może za długi jako moda, ale na scenie wszystko inaczej się przedstawia, więc musi być długi, cały dół wraz z trenem obłożony wazkim pasem lisów niebieskich, na ramionach rodzaj epoletów, także tworzyły lisy

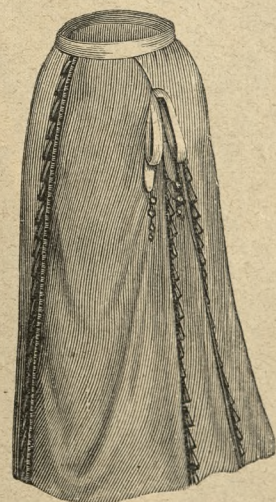


Nr 4. Suknia ranna dla młodej osoby (do ryc. Nr 8).  
Krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 14—21.



Nr 6. Suknia z sukna i aksamitu ozdobiona złotym haftem. (Opis odwr. str. tabl.)

Nr 7. Suknia z materiału wełnianego gładkiego i w kraty. (Opis odwr. str. tabl.)



Nr 5. Przednia część spódnicy (do ryc. Nr 2).



Nr 8. Część tylna stanika  
(do ryc. Nr 2).

grubsze na ramieniu i niknące pod pachą, z pod nich widniały długie dość szerokie rękawy z „crépe-lisse“, z czego była i ruzsa na około szyi, bo nasza artystka w roli Maryi Gautier, dla pokrycia śladów ubiegłej młodości nosi zawsze sutą riaszę na około szyi, co bardzo korzystnie dla niej moda w tej chwili uwzględnia. Prząd sukni na różowej „crépe-chine“ haftowany złotem. Całość uroczą. Druga toaleta w 3-cim akcie była marnieniem wdzięku i niby prostoty, stosowna do pełnego uroku miłosnego mieszkania dwójga kochanków. Otóż ta była z matowego białego materiału a jednak jedwabiu, dotykająca zaledwie ziemi „rasant-terre“, w dole ubrana falbaną koronkową, podtrzymwaną kokardami z zielonego aksamitu, stanik długi osyty koronką formował w górze rodzaj karczka ugarniowanego koronką, pasek zielony z kokardą, powtarzamy, toaleta odmładzała artystkę o jakie lat 20. W czwartym akcie miała toaletę czarną aksamitną z koronkami, z dużym pufem z tyłu, od jednego ramienia aż do kolan ukośnie przybrana girlandą z bardzo dużych białych kwiatów i liści. Niech nam wolno będzie powiedzieć, że wprawne oko musiało dojrzeć, iż ta toaleta ani w War-



szawie u Herzego, ani w Paryżu robiona nie była, przypuszczamy, że chyba w Ameryce, gdzie wyobrażenia w kwestyi mód muszą bardzo zacofane, tak fasonem jak całym układem była daleką od tegoczesnych praw mody. Za to „peniuar“ negliż czy z batystu czy z „crape-chine“ z koronkami cieniutkimi był prześlizny, żal nam go było bardzo, gdy umierająca na suchoty artystka padła na ziemię, mając tuż obok sofy, zawsze to podłoga niszczy biały materyał.

W Odecie były aż dwie toalety — w pierwszym akcie śliczna matowa jedwabna koloru kamienia, fasonem „Watteau“, przybrana kwiatami, toaleta była młoda, doskonale leżała na figurze.

Druga toaleta balowa z adamaszku w bukiety białe i liście begoni z długim trenem, miała na biodrach tak zwane „panier“ koszyczek, stanik zaś mocno wydekoltowany uwydatniał pełen biust pięknego ciała. Przód blade-zielony atlasowy pokrywał tiul zahaftowany kamieniami różnokolorowymi, suknią odpowiadała wiekowi i położeniu Odetty.

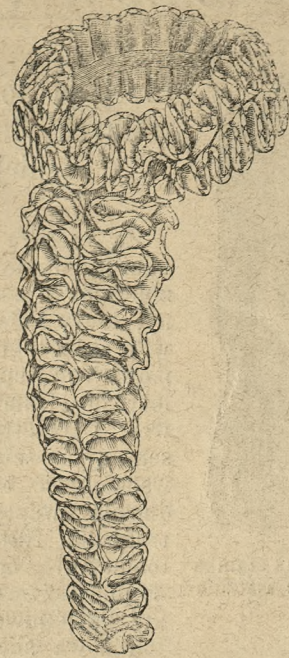
Sądzę, że panie po za Warszawą zamieszkałe, z przyjemnością wystawią sobie piękny obraz naszej artystki, kończącej swe występy w wyżej opisanych toaletach. A czy wiecie panie, jak to się te krepy, gazy i tiule kamieniami nazywa? Rzniete różnych płaskich form kamienie, podługne, owalne, trójkątne, okrągłe szafiry, rubiny, szmaragdy, wszystkie czeskie, mają z dwóch stron dziurki na wskroś, przez które z dwóch też stron przyszyte są jedwabiem do cieniutkiej tkaniny. Oto cały sekret.

L. C.

### Suknia dla panienki od 10—12 lat.

Rycina Nr 12 i 10. (Kr. pierw. str. tabl. Nr III, fig. 22—30).

Suknia z materyału wełnianego w kraty ukośne, rękawki i kołnierzyk ozdobione złotym sutaszem. Skrajac z podszewki fig. 22, 24—26 po dwie części. Fig. 29 z uwzględnieniem konturu spodniej części rękawa. Z materyału fig. 23, 27 i 28 po jednej części złożonej wzdłuż środka, kołnierz jednak z uwzględnieniem konturu le-



Nr 9 Riusza na szyję z zabotem. (Opis w Bl. Nr 9).



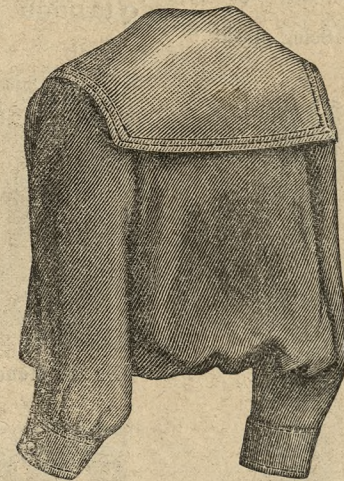
Nr 10. Część tylna stanika do ryc. Nr 9.



Nr 14. Tylna część bluzki do ryc. Nr 19.



Nr 15. Monogram.



Nr 16. Tylna część bluzki do ryc. Nr 13.

Nr 12. Suknia dla panienki od 10—12 lat (do ryc. Nr 10). Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 22—30. Ubranie dla chłopczyka od 11—13 lat (do ryc. Nr 16). Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr V, fig. 35—41.



Nr 17. Suknia z sukna.

Nr 18. Suknia wieczorowa z materyału jedwabnego gładkiego i „broché“.



Nr 19. Bluzka z atlasu „neiveille“ (Opis odwr. str. tabl. Nr 14).



Nr 20. Fartuszek z „surah“ i koronki. (Opis w Bl. Nr 9).



Nr 22. Buciki dziecinne wykonane szydełkiem. (Opis w Bl. Nr 9).

fiaste z materyału gładkiego, przybrane czarną koronką.

### Koronka (robotą szydełkową).

Rycina Nr 25.

Koronka wykonana krętą bawelną w poprzek. Rozpocząć na założeniu 12 o. — 1 kolej: 3 ocz. opuścić, 2 sl. przedziel. 3 pow. o. w następ. ocz., 3 pow. o. 1 ścis. o. w 3 z rzędu o., 1 półsłupek, 2 sl., 1 podwójny sl., 1 potrój. sl. w następne 5 o. — 2 kolej: 8 pow. o., 2 sl. przedziel. 3 pow. o. w 3 pow. o., znajdujące się pomiędzy 2 sl., 5 pow. o., 1 ścis. o. w pow. o. ponad następ. sl. — 3 kolej: 8 ścis. o., z których 2 i 3, 4 i 5 oraz 6 i 7 przedziel. pikotem (czyli 4 pow. o., 1 ścis. lań. ocz. w poprzednie ścis. ocz.) w następ. 5 pow. ocz., 1 pow. ocz., 2 sl. przedziel. 3 pow. o. w 3 pow. o., znajdujące się pomiędzy następ. 2 sl., 3 pow. o. 3 o. opuścić, 1 ścis. o., 1 pół sl., 2 sl., 1 podwój. sl., 1 potrój. sl. w następ. 6 o. Powtarzać 2 i 3 kolej a następnie wykonać brzeg górny podług ryc.

### Poszewka na małą poduszkę („oreiller“) ściąg gałązkowy.

Rycina Nr 26.

Materyał do prania lniany koloru białego. Wierzchnia część ozdobiona haftem i otoczona koronką klockową 4 cent. szer. skrajac część 80 c. wysok. a 40 c. szer. Złożyć na połowę wysokości i górną część ozdobić haftem wykonanym bawelną lub jedwabiem. Otoczenie figur ściąganiem gałązkowym kolorem niebieskim, wypełnić tło w sposób ukośny ściąganiem gałązkowym w jasnym kolorze. Otoczenie ściąganiem krzyżowym kolorem niebieskim.

### Stół toaletowy (styl nowożytny rokko).

Rycina Nr 32.

Górny blat i nogi stołu pokryte pluszem koloru „bordeau.“ Lustro weneckie kształtu fantazyjnego umieszczone na tle z pluszu. Draperye z materyału jedwabnego koloru pluszu, przybrane frendzlą złotą, takimiż sznurami i kwa-

wego przedniego brzegu a podług fig. 30 dwie części. Lewy przedni brzeg z podszewki pokryć według potrzeby materyałem i w obydwóch przednich częściach wykonać zaszewki. Fig. 23 od górnego brzegu aż do linii zmarszczyć po kilkakrotnie i przyszyć materyał podług cyfr i znaków do prawej przedniej części. (Zapina się suknią na lewym ramieniu i lewym bocznym szwie). Połączyć plecy i 2-ie boczki z podszewki podług cyfr, przyfastrygować do materyału zmarszczonego po kilkakrotnie aż do linii. Pierwsze boczki pokryć materyałem; zszycić plecy, boczki i przednie części podług cyfr i przedni brzeg z podszewki zaopatrzyć w dziurki i guziki do zapinania. Kołnierzyk przyszyć wzdłuż linii. Wierzchnie części rękawów z materyału przyfastrygować do podszewki, dolną część obłożyć materyałem, połączyć wierzchnie części ze spodniemi. Dolne części ozdobić złotym sutaszem i złotymi guziczkami wzdłuż rozporoka, oraz pentelkami z sutaszu. Górną część zmarszczyć od \* do \* i wszyć w pachy trafiając w 61 na 61. Spódnica z alpagi 55 cent. dług. podszyta do połowy wysokości muslinem, pokryta falbaną 310 c. obwodu ułożona podług ryc. Pasek z wstążki jedwabnej repsowej koloru czarnego związany na kokardę z końcami w tylnej części wykończa całość.

### Suknia z sukna.

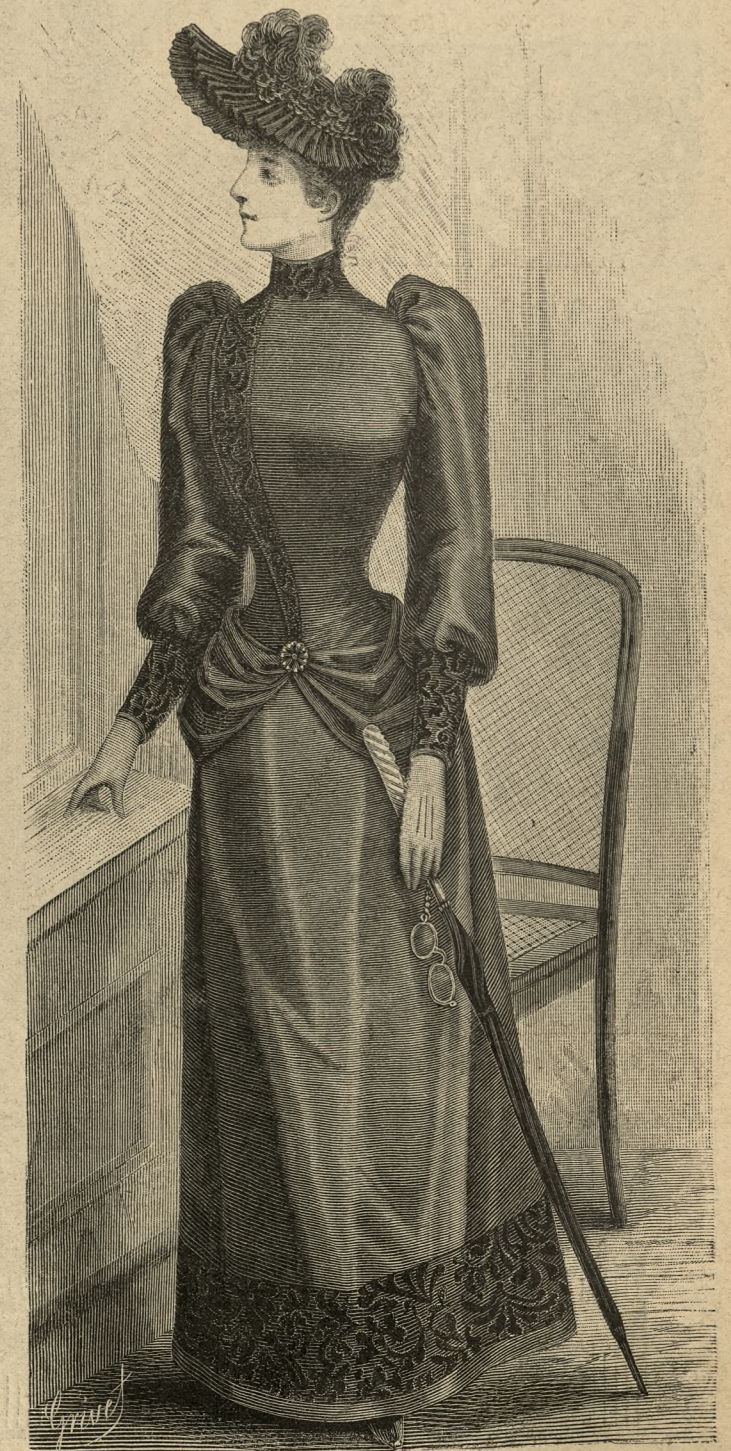
Rycina Nr 17.

Suknia z sukna koloru zielonego. Spódnica wykonana zwyczajnym sposobem z podszewki 212 c. obwodu, pokryta spódnicą z sukna 300 cen. obwodu ułożona płasko w przedniej części, w tylnej zaś w kontrafaldy. Przednia dolna część ozdobiona szerokim szlakiem maszynowym wykonanym czarnym jedwabiem. Stanik z potrójną połą podszytą jedwabiem i objętą czarną jedwabną plecianką, takież sam potrójny kołnierz. Rękawy i kołnierzyk stojący ozdobione haftem maszynowym.

### Suknia wieczorowa z materyału jedwabnego gładkiego i „broché“.

Rycina Nr 18.

Suknia z materyału jedwabnego gładkiego koloru czarnego i tegoż koloru materyału „broché“ w rzut różowy. Dół sukni ozdobiony czarną koronką 40 centim. szer. Przednia część spódnicy przybrana szlakiem z pereł. Stanik podług ryc. ozdobiony małymi po bokach „paniers.“ Rękawy bu-



Nr 21. Suknia z bengaliny. (Opis odwr. str. tabl.).

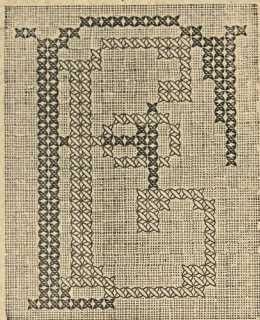


stami oraz w górnej części pękiem piór strusich. Pokrycie stołu formą lambrekinową z materiału białego do prania, ozdobione haftem wykonanym złotą nitką i jedwabiem koloru lososiowego. Złote sznury i kwasty. Kandelabr ze szkła kolorowego. Taboret przybrany odpowiednio pluszem bordeau, tegoż koloru materiały i złotymi kwastami.

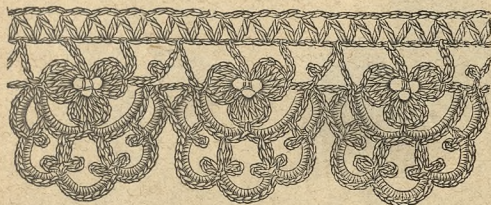
### Przepisy gospodarskie.

#### Pranie szarych wełnianych materiałów.

Na materiałach szarych i popielatych, występują po praniu brunatne smugi, dla uniknięcia tej niedogodności należy: wyprać materiał dwa razy w gorącym łągu mydlanym z popiołu drzewnego, do którego dodać przy trzecim praniu trochę soli kuchennej. Odląć wodę bez wyżymania, wysuszyć trochę i następnie wyciskać po kilkakrotnie materiał, ułożony w grubych płóciennych prześcieradłach. W końcu suszyć w ciepłym miejscu, ale nie



Nr 27. Monogram.



Nr 24. Koronka (robota szydełkowa).



Nr 23. Serwetka (haft podług wzoru porcelany berlińskiej). Ścieg płaski i gałązkowy. Opis w Bl. Nr 9.



Nr 26. Poszewka (ścieg gałązkowy).



Nr 29. Deseń na serwetkę ryc. Nr 30.

na słońcu. Równie dobrze przy starannem i umiejętnem praniu prać je w odwarze mydlika (patrz broszurkę: „Cokolwiek bądź chcesz wyczyścić“ przez autorkę 365 obiadów).

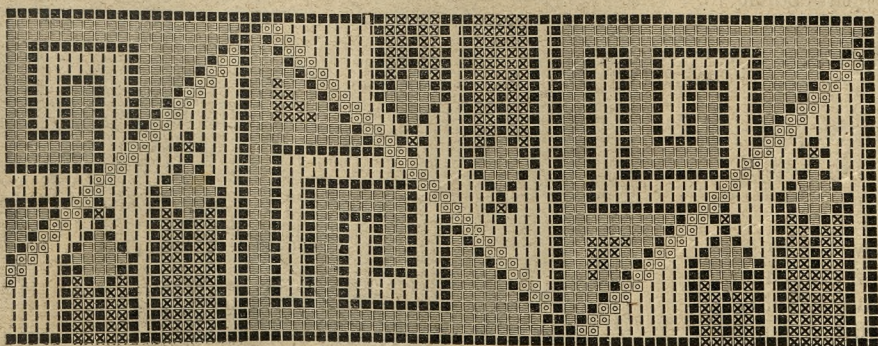
L. C.

#### Obiad na Niedzielę.

1. Barszcz z uszkami.
2. Sztufada z kartoflami.
3. Prosię pieczone nadziewane.
4. Krem biały ponczowy.



Nr 30. Serwetka (do ryc. Nr 29 i 31). Ścieg płaski i krzyżowy.



Nr 31. Deseń na serwetkę ryc. Nr 30.

■ Ciemno-bronzowy, □ jasno-bronzowy, ⊠ złoty, \* niebieski, † tło.

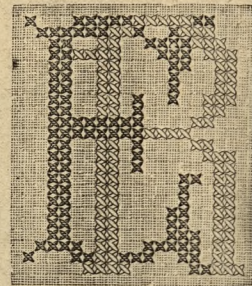
### KOESPONDENCYA.

Odp. pani Wandzie S..

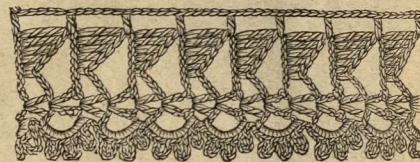
Odpowiadam tylko w Bluszczu. Przepis dam w Bluszczu, a o osobę, jakiej pani potrzebujesz, najlepiej się listownie udać do kantoru Łuczyńskiego, Resursa obywatelska, lub do kantoru służących, Złota ulica.

### U W A G A.

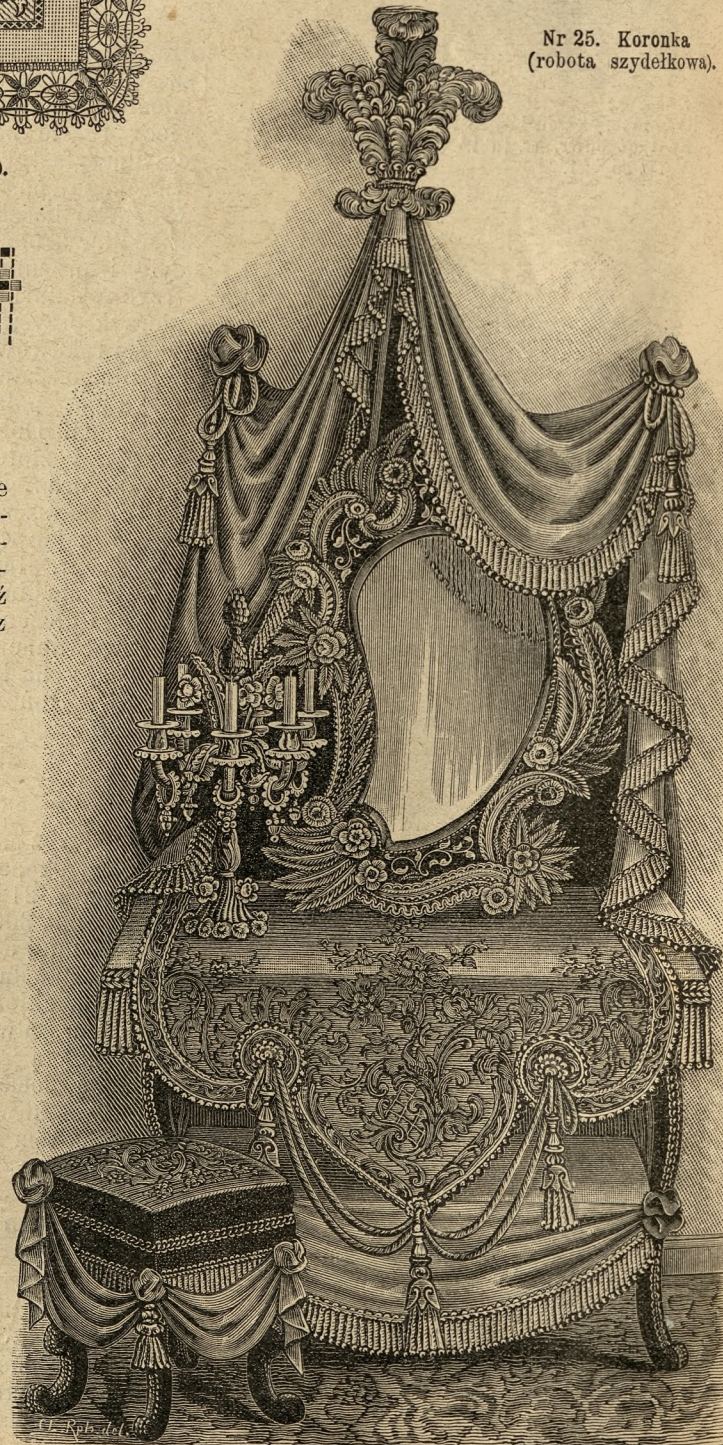
Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, odnosząca się do wzorów w tym i w przyszłym numerze Bluszczu podać się mających.



Nr 28. Monogram.



Nr 25. Koronka (robota szydełkowa).



Nr 32. Stół toaletowy (styl nowożytny) „rokoko“.